

W DRODZE

D W U T Y G O D N I K P O L I T Y C Z N Y I L I T E R A C K I

Nr. 13 (31)

Jerozolima, 1 lipca 1944 r.

Rok II

W numerze:

K. Grzybowski: Najstarsza z demokracji — Z Afryki francuskiej. — W. Siedziński: Młoda Polska Podziemna. — H. Zylberlast: Problemy pozaprawne w zagadnieniu niemieckich zbrodni wojennych. — H. Z. B.: Szczęść mieście w Tunisie. — B. Łączkowski: Wiek XIX — wiek XX. — 4.VIII.1943 — 4.VII.1944 — *** Droga Powrotna. Pamięci gen. Władysława Sikorskiego. — T. Zajackowski: Pod znakiem Czerwonego Krzyża. — J. Mackiewicz: Czy będziemy mogli odczytować myśli? — Fakty i komentarze: Międzynarodowy kongres monetarny. Nauka niemiecka o wartości Polaków. — W. Turek: Polski ruch umysłowy w Teheranie. — J. Hoffman: Bibliografia druków polskich w Iranie. — J. Martyka: Kronika filmowa. Szekspir w kinie. — S. H. Dominik: Opinie angielskie. — ww.: Przegląd polityczny. — Z prasy obcej.

W PIERWSZĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI

Wielcy ludzie mają to do siebie, że z odaleniem rosną. Zyskują na dalszej perspektywie. Tak też ma się i rzecz z gen. Sikorskim. Za życia drobne, bieżące sprawy przysłaniały wielu jego wielkość. Dziś wiemy wszyscy, że dnia 4 lipca 1943 r. zginął w Gibraltarze jeden z wielkich polskich mężów stanu. Poprzez rok oddalenia gen. Sikorski wyrósł w naszych oczach.

Nie znaczy to, aby stać nas było już teraz na spokojną, „obiektywną“ jego ocenę. I to nie tylko dlatego, że nie mamy jeszcze po temu w ręku wszystkich potrzebnych materiałów: raportów, depech, listów. Nie możemy się na ocenę taką zdobyć przede wszystkim dlatego, że te wszystkie zagadnienia polityczne, które mu przyszło rozwiązywać, to przecież w dalszym ciągu najbardziej palące, najżywcze problemy nas wszystkich, i że Rząd Polski, który się po jego śmierci uformował, jest kontynuatorem jego linii politycznej. Nazwano go gabinetem Sikorskiego bez Sikorskiego. Przychodzi nam nieraz głęboko żałować, że na szale dyskusji międzynarodowych nie możemy rzucić wielkiego autorytetu osobistego gen. Sikorskiego, ale wiemy, że śmierć jego nie przecięła ciągłości polityki polskiej. Rząd prem. Mikołajczyka prowadzi ją w myśl tych samych wytycznych, które kierowały Sikorskim.

Był on tym kierownikiem polskiej nawiązanej państwowej na emigracji, jakiego Polska naprawdę potrzebowała. Był nim dlatego, ponieważ jego kategorie myślenia były nowoczesne, demokratyczne i zachodnioeuropejskie. Przed wojną miał opinię czołowego naszego frankofila. Cieszył się wielkim autorytetem tak w politycznych, jak i wojskowych kołach francuskich. Ale kiedy Francja w r. 1940 upadła, okazało się, że gen. Sikorski z miejsca zdobył sobie w Anglii równie mocną pozycję. Wtedy to stało się rzeczą jasną, że to, co nazywaliśmy jego frankofilstwem, miało charakter głębszy: była to jego zachodnioeuropejskość i nowoczesność. Dlatego mimo że nie znał angielskiego, tak szybko potrafił się porozumieć z Anglikami: mówił z nimi wspólnym językiem. Alianci mieli w osobie gen. Sikorskiego partnera, który przez całe swe życie, od pracy w związkach studenckich, wierny był sprawie demokracji, i człowieka o tym samym co i oni, zachodnioeuropejskim typie mentalności. Stwarzało to od razu w rozmowach atmosferę szczerości i wzajemnego zrozumienia.

Najlepszym przykładem nowoczesności koncepcji politycznych gen. Sikorskiego były jego poglądy na przyszłą wojnę, sformułowane przezeń jeszcze w r. 1934. Był jednym z tych nielicznych w obozie alianckim dowódców wojskowych, którzy już wcześniej zdali sobie sprawę z tego, że nowa wojna będzie wojną motorów. Ten generał, szybko po maju 1926 r. odsunięty od pracy w wojsku, dużo lepiej i trafniej od ludzi, mających w swym ręku kierownictwo naszych spraw wojskowych, orientował się w charakterze nowoczesnej wojny.

Bardzo szybko też zrozumiał, jak śmiertelne niebezpieczeństwo grozi Polsce ze strony Niemiec. Nie dał się tu wziąć na lep żadnych paktów. Systematycznie otwierał oczy na to niebezpieczeństwo w kampanii prasowej, jaką prowadził na łamach „Kuriera Warszawskiego“ oraz prasy francuskiej.

Wrzesień 1939 r. pokazał, że był politykiem, który umiał dobrze przewidywać: napaść spadła na Polskę ze strony niemieckiej. Wojna, jaka się rozegrała, była wojną motorów.

Miarą jego autorytetu może być fakt, że od momentu klęski było rzeczą samą przez się zrozumiałą, że to on właśnie będzie formował na emigracji nowy Rząd Polski. Decyzja ta była niemal że automatyczna, tak oczywistą rzeczą było, że wysuwa się swoimi kwalifikacjami i autorytetem osobistym na czoło wszystkich polskich działaczy politycznych, jacy znaleźli się na uchodźstwie.

Rząd, jaki stworzył, oparty został na szerszym przedstawicielstwie demokratycznym, najszerzym możliwym w warunkach emigracyjnych. W rządzie tym nie tylko sprawował obowiązki premiera, ale także i prowadził ministerstwo wojny oraz faktycznie kierował polityką zagraniczną. Jako Wódz Naczelny z rozbitków wrzesniowych tworzył nową armię polską, tym razem już armię nowoczesną, zmotoryzowaną. Po kryzysie z lipca 1941 r. objął też kierownictwo Armii Podziemnej.

Jego wielką decyzją była decyzja przeniesienia Rządu Polskiego i polskiego wysiłku wojennego z Francji do Anglii po załamaniu się Francji w czerwcu 1940 r. Przełomową datą było tu jego spotkanie z Churchilllem dnia 19 czerwca. Sytuacja wojskowa była wówczas bardzo ciężka, dalsze perspektywy wojny wyglądały źle. Gen. Sikorski jednak nie załamał się wtedy, nie znał wątpliwości, wahań, ani na chwilę nie stracił wiary w zwycięstwo. Działał sprawnie i szybko. Dzięki tej jego decyzji polskie dywizyjony wal-

czyły już w dwa miesiące później u boku brytyjskich w decydującej Battle of Britain. Przyszłość jeszcze raz miała pokazać, że jego ocena sytuacji była trafna. Zaś hartem ducha i szybkością decyzji, jakich złożył wtedy dowody, od razu, szturmem zdobył sobie angielską opinię publiczną, z miejsca zyskując u niej taką pozycję, jakiej nie miał nikt z politycznych czy wojskowych przywódców narodów, okupowanych przez Niemcy. Wyrazem tego jego czołowego stanowiska było przewodniczenie gen. Sikorskiego na międzynarodowych konferencjach. Zawsze z uwagą słuchano jego ocen sytuacji wojennej. Zasięgano jego rady także i w sprawach, nie mających związku z rzeczami polskimi. Wizyty do Stanów Zjednoczonych pozwoliły mu ugruntować takie same stanowisko zarówno wśród amerykańskich czynników decydujących, jak i w opinii publicznej Stanów Zjednoczonych. Kiedy umarł, prasa brytyjska, nie skłonna do łatwiej rozlewności i od nadużywania wielkich słów, pisała o nim jako o jednym z kilku najwybitniejszych mężów stanu Narodów Sprzymierzonych.

W lipcu 1941 r. wziął na siebie decyzję nawiązania stosunków dyplomatycznych z ZSRR. Było to najmocniej krytykowane z ZSSR. Było to najmocniej krytykowane z jego posunięć. A przecież układem z ZSRR gen. Sikorski niczego nie przesadził na naszą niekorzyść, a osiągnął szereg doraźnych korzyści, z których najważniejszą było podwojenie szeregów armii polskiej, walczącej na obczyźnie. Zdawało się też, że układ ten utoruje drogę do nawiązania dobrych sąsiedzkich stosunków między Polską a ZSRR. Nie naszą jest winą, że tak się nie stało. Krytyki układu były zresztą małoistotne i niepoważne: czepiały się one takich czy innych szczegółów, sformułowań, daty podpisania, nie potrafiły się wznieść do ujęcia całokształtu zagadnienia i w ten sposób pośrednio przyznawały i one merytorycznie gen. Sikorskiemu w decyzji tej rację.

Potrafił sprawę polską postawić wysoko w świecie alianckim. Działal tu nie tylko jego osobisty prestiż, ale i przede wszystkim to, że umiał on łączyć sprawę polską z hasłami o znaczeniu uniwersalistycznym, że widział ją w powiązaniu z wszystkimi wielkimi zagadnieniami polityki światowej. Pozwalało mu to ujmować zagadnienia polskie w trafnej perspektywie, dawało w ocenie zjawisk politycznych ten realizm, który jest podstawowym warunkiem skutecznej polityki.

Określenie to wymaga pewnego omówienia. Słowo „realizm“ nie ma u nas dobrej prasy. I trudno się temu dziwić. Ileż to razy używano go jako przykrywkę dla wszelkich hasel ustępstw, kapitulacji, dla usprawiedliwienia rozbiorów. Nie sposób jednak nie zauważyć, że wszelka polityka, któraby nie była w pewnym, szerokim sensie tego słowa realna, t. j. któraby nie miała wycucia istniejącej rzeczywistości i realnych możliwości, zatracą rację bytu wszelkiej działalności, bo skuteczność działania. Polityka taka, przesunawszy się w świat fikcji, traci możliwości oddziaływania na rzeczywistość, stąd w ostatecznym rachunku, sub specie historii, choć innymi drogami, prowadzi ona do tego samego rezultatu co najbardziej płaski realizm, bo do zupełnej kapitulacji.

Otóż gen. Sikorskiego cechowała w wysokim stopniu właściwość, nieodzowna dla każdego wybitnego męża stanu, a w naszych, polskich warunkach szczególnie cenna, bo rzadsza niż gdzie indziej, a mianowicie żywe wycucie tego, co Francuzi nazywają „la réalité des choses“. Ta trzeźwość ujęcia łączyła się w jego osobie ze zdolnością decyzji, — szybkiej, energicznej i podejmowanej we właściwym czasie.

Zabrakło go w momencie szczególnie dla nas trudnym i ciężkim. Ale linia jego polityki nie została przez jego śmierć przerwana. Jest to bowiem linia, wytyczona przez polską rację stanu.

Ś. P. GEN. WŁADYSŁAW SIKORSKI



Gen. Sikorski w Tobruku



Marynarze polscy wnoszą do pociągu trumnę ze zwłokami gen. Sikorskiego

KAZIMIERZ GRZYBOWSKI

NAJSTARSZA Z DEMOKRACYJ

I. — „My, Naród Stanów Zjednoczonych, celem stworzenia doskonałego związku, zapewnienia sprawiedliwości, pokoju wewnętrznego, wspólnej obrony, powszechnego dobrobytu, i zapewnienia błogosławieństw wolności nam samym i potomności, nadajemy i ustalamy tę Konstytucję Stanów Zjednoczonych Ameryki”. (Wstęp do Konstytucji, — 1787 r.).

Żywiołowość, z jaką Stany Zjednoczone wkraczają na rozmaite fronty, czy to militarne, czy polityczne, rozwijają produkcję wojenną, szybkość, z jaką pokonały trudności w przygotowaniu wielkiej, znakomicie wyposażonej, bitnej, a — co najważniejsze — doskonale dowodzonej armii, zwracają uwagę całego świata. Jasne jest, że odegrają one decydującą rolę w ustaleniu nowego ładu w świecie. Stąd też zainteresowanie sprawami amerykańskimi, stąd poszukiwanie elementów w teraźniejszości i przeszłości Stanów, któreby wyjaśniły, o ile nadzieje na międzynarodowy układ, zapewniający poszanowanie prawa, niepodległości narodów i bezpieczeństwo, są uzasadnione. Krótko ujmując — o ile Stany Zjednoczone zechcą przyczynić się do zdemokratyzowania stosunków międzynarodowych.

Określenie „Nowy Świat”, które zyskało obywatelstwo w stosunku do Stanów Zjednoczonych, przestało obowiązywać. Jeżeli weźmiemy pod uwagę wiek rządzeń państwowych, tradycję, która za nimi stoi, to przekonamy się, że instytucje polityczne i społeczne w Stanach Zjednoczonych są bardzo często starsze niż w wielu państwach europejskich, które dawniej powstały. Instytucje te rozwijały się wokół najstarszego z obowiązujących dzisiaj aktów konstytucyjnych. Jeżeli dzisiaj obywatel Stanów Zjednoczonych zechce przekonać się, jak wyglądają jego prawa i obowiązki, to może w Waszyngtonie w Bibliotece Kongresu zobaczyć pierwowzór, najoryginalniejszy tekst Konstytucji, tak samo jak w Paryżu mógł zobaczyć pierwowzór metra.

Ta Konstytucja mimo swego wieku obowiązuje do dziś dnia i w tekście, przechowywanym z największym szacunkiem, znajduje się obowiązujące prawo.

W tym ustroju Konstytucja związkowa zajmuje centralną rolę. Bez zrozumienia jej nie można rozumieć Stanów.

Jeżeli spoglądamy na urządzenia polityczne Stanów, wyjątkowo powstaje w naszych umysłach, pełnych myśli o koniecznej demokratyczności przyszłych rządów społecznych, wątpliwość, czy urządzenia tej szczęśliwej społeczności w pełni zasługują na tę nazwę. Można, poddawszy fachowej analizie, kwestionować z punktu widzenia postulatu arytmetycznej równości uprawnień politycznych poszczególne instytucje, przez Konstytucję amerykańską stworzone. Można, dalej, kwestionować, czy istota demokratycznych rządów, wysuwanie jednostki ludzkiej i jej praw na plan pierwszy wśród celów państwowych, jest rzeczywiście cechą rządów konstytucyjnych Stanów Zjednoczonych. Jasne jest, że zabezpieczenie wolności od agresji z zewnątrz, przez stworzenie stosownej maszyny państwowej, zajmowało pierwszy plan w umysłach twórców. Sam jednak charakter rewolucji amerykańskiej nadawał problemom, związanym z tworzeniem państwa, specyficzny charakter. Oto bowiem obywatele kolonii amerykańskich zbuntowali się nie przeciw obecnej władzy, ale przeciw prawowitemu suwerenowi. Przecistawili nienaruszalną prawa ludu uprawnieniom władcy, który naruszył naturalne swe obowiązki. Dlatego też tworzenie ustroju Stanów było w pierwszym rzędzie problemem wewnętrznym, — zapewnienie należytej równowagi między władzą organów państwowych, a źródłem władzy, którym jest wola ludu. Dlatego też Konstytucji Stanów Zjednoczonych nie można czytać samej, trzeba pamiętać o Deklaracji Niepodległości, której wstęp jest wielką proklamacją praw jednostki.

Naród amerykański zrodził się z przekonania, że „wszyscy ludzie są sobie równi, że zostali oni obdarzeni przez Stwórcę niepozbywalnymi prawami, a do tych należą prawa do Życia, Wolności i posęgu za Szczęściem”.

W umyśle szarego człowieka z ulicy amerykańskich miast te dwa dokumenty stanowią istotną i zasadniczą całość. Deklaracja Niepodległości weszła w Konstytucję i nierozdzielnie się z nią złączyła. W powstawaniu klimatu rządów ludu i jego reprezentantów odegrała główną rolę nie tyle treść przepisów Konstytucji, ile wrażenie, które ona wywierała jako całość w umysłach obywateli.

Twórcy Konstytucji z r. 1787 zdawali sobie sprawę z tego jak wielkim kompromisem były jej postanowienia, wiedzieli, jak często poszczególne postanowienia były rezultatem chwilowej i przypadkowej przewagi zwolenników tego czy innego rozwiązania, ale w przekonaniu tych, którzy po nich przyszli, Konstytucja nabrała cech doskonałości i świętości nakazu, obdarzonego prawie że nadprzyrodzoną mocą i mądrością. Krytyka postanowień Konstytucji wkrótce po jej wprowadzeniu w życie ustała, a szacunek dla niej wywołał ogólny szacunek dla normy prawnej, który jest istotą demokracji amerykańskiej. Najlepszym wyrazem wewnętrznej zgody i wiary w doskonałość postanowień Konstytucji jest to,

iż w czasie wojny cywilnej obie strony uznawały jej zasady za obowiązujące. Stany, zrywające związek z Unią, walczyły głęboko przekonane, że one interpretowały właściwie boskie przykazania z r. 1787.

To przekonanie powstało w specyficznych warunkach. Filozofia politycznej rewolucji amerykańskiej, polskiej czy francuskiej w końcu XVIII wieku, była filozofią rozumu. Stąd też, zwłaszcza przez porównanie z kierunkami reakcyjnymi, założenia demokracji są realistyczne. Jednym z tych racjonalistycznych elementów, które przedostały się do społeczeństwa amerykańskiego i na zawsze w nim pozostały, jest uwielbienie dla prawa, dla normy prawnej jako czynnika życia państwowego i głównej spójni, łączącej sprawy i ludzi. W rezultacie nigdzie bodaj hasła, w imię których powstało państwo, nie są jeszcze tak żywe, jak właśnie w Stanach. Nigdzie może nie przedostało się do chwili dzisiejszej tyle elementów z atmosfery owych wielkich dni z końca XVIII wieku.

Ten szacunek dla prawa, który wyrósł z uwielbienia dla Konstytucji z 1787 r., nie pozostał bez konsekwencji praktycznych. Z niego wyrosła preponderancja Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych, później zaś innych sądów — właśnie w dziedzinie życia politycznego. Interpretacja prawa i jego stosowanie w umyśle Amerykanina łączy się przede wszystkim z biegiem najważniejszych spraw państwowych. Każdy, kto obserwuje orzecznictwo tych sądów, wie, jak często powołują się one na Konstytucję, przekazując nawet o naj-

mniejszych prawach poszczególnych obywateli, jak często konfrontują z nią przepisy prawne i posunięcia rządowe. Konstytucja żyje i posiada praktyczne, codzienne znaczenie. Te okoliczności stanowią bodaj że najważniejszy fundament demokracji Stanów Zjednoczonych, najważniejszy czynnik, wpływający na klimat, w jakim sprawy państwowe są załatwiane.

Potrąciliśmy już o rolę Sądu i wymiaru sprawiedliwości w ustroju Stanów Zjednoczonych. Zadania sądu są gruntownie odmienne od tego, co przywykliśmy uważać za tradycyjną rolę sądownictwa w państwie. Sądy są narzędziem politycznym. Granicą działania tego narzędzia jest prawo.

Pierwszym zagadnieniem, przed którym stanął Sąd Najwyższy, było ustalenie w praktycznym życiu współzależności Stanów i Związku. Problem par excellence polityczny. Udział Sądu Najwyższego w tym wielkim procesie, który w rezultacie dał z kilkunastu odrębnych jednostek terytorialnych ustrój państwowy, jaki — dzisiaj widzimy, — był decydujący.

Drugim zadaniem było ustalenie równowagi między państwem a obywatelem. Tu znowu zaznaczyła się jednocząca akcja Sądu Najwyższego. On bowiem sprawiał, że powstały jednolite warunki dla obywateli Stanów na terenie całego Związku. W orzecznictwie swoim utworzył jednolite granice władzy państwowej.

Broniąc praw obywateli i pracując jednocześnie na rzecz jednolitości Związku, zdobył

sobie Sąd Najwyższy Stanów specyficzne stanowisko. Znana jest teoria, która nie tylko u nas w Polsce wyrządzała tyle krzywdy życiu państwowemu i samej istocie prawa, że każda ustawa wymaga rozporządzenia wykonawczego. Pomijając już kwestię, że w ten sposób można wypaczyć wiele zamiarów ustawodawcy i wykoszlawić właściwy tekst ustawy, teoria ta uzależnia wolę czynnika prawotwórczego od władzy wykonawczej, do której nie należy krytyka prawa. Praktyka Sądu Najwyższego Stanów poszła po linii krainowo przeciwniej. Dla niego ustawa konstytucyjna, a w konsekwencji każda inna, wchodzi natychmiast w życie.

Wynikły z tego dwie zasadnicze konsekwencje. Uniemożliwiono rozbieżności między programem państwowym a prawem obowiązującym, albowiem egzekucją prawa zajmują się czynniki, zależne nie tylko od egzekutywy. Następnie, nadano ustawie konstytucyjnej, a także i wszelkiej innej normie prawnej, samodzielną rolę i niezależne działanie. Każde postanowienie Konstytucji posiada wszelkie kwalifikacje do tego, by weszło w życie i obowiązywało, a sądy amerykańskie nie potrzebują dodatkowych przepisów i umieją sobie radzić z tak zwanymi lukami prawa. Dla sądów amerykańskich nie istnieją t. zw. przepisy ramowe, które w myśl naszej praktyki potrzebują jeszcze specjalnych ustaw. Dlatego też te najogólniejsze przepisy konstytucyjne dawały pole do rozwijania konkretnych norm prawnych. W tych samych granicach co i ciało ustawodawcze Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych tworzył przepisy prawne. Trzeba jednak dodać, że o ile ustawa, uchwalona przez Kongres mogła jeszcze narazić się na orzeczenie sądowe, że nie jest zgodna z Konstytucją, i wskutek tego utracić moc prawną, to wyroki Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych, ustalające normy prawne, nie podlegały tego rodzaju ograniczeniom.

To podkreślanie roli sądownictwa w tworzeniu ustroju i państwowości Stanów nie jest teoretycznym rozważaniem. Posiada ono praktyczne znaczenie. Rząd demokratyczny to rząd prawa, to rząd, w którym organy, stosujące do prawa, odgrywają centralną rolę. W ustrojach autorytarywnych sądy bardzo prędko spadają do roli władz administracyjnych pewnym działem życia państwowego, a prawo posiada charakter przepisów regulaminowych, których życie zależne jest od interesów władzy wykonawczej.

Ustrój Stanów przenika idea, że działania wszelkich organów i władz państwowych jest wynikiem woli ludu. Dlatego też wpływ woli narodu nie można ograniczyć do działania i kompetencji ciał parlamentarnych. Te ostatnie w historii Stanów rzadko miały okazję bronić praw ludu, gdyż sposób, w jaki powołuje się członków Kongresu, wiąże zbyt ściśle poszczególnych kongresmenów ze sprawami miejscowymi. W rezultacie obraz życia państwowego Stanów wygląda odmiennie od tego, do czego przyzwyczaili nas kontynentalne tradycje. Ale też zasady podstawowa, to nie system podziału prac z możliwie ściśle zarysowanymi granicami między jedną a drugą, ale system hamulców i równowagi, w którym jedna władza, posiadająca ingerencję w zakresie działania innej, uniemożliwia gwałcenie prawa.

Można wyobrazić sobie, że tego rodzaju stan rzeczy, w którym wola ludu i poszanowanie prawa są posunięte do ostateczności, to stan idealny dla anarchii i beśsiły władzy wykonawczej. Tymczasem Stany Zjednoczone to sprężysty i sprawny organizm państwowy. Tajemnica tego tkwi w tym samym fakcie, który powoduje, że przed życzeniem i wolą Churchill'a ustępuje parlament brytyjski. Prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki jest tym czynnikiem, który obok historycznej woli, ubranej w formę konstytucji, reprezentuje wolę ludu z dnia dzisiejszego. Posiadając największy zakres władzy, wykonuje ją na podstawie zaufania narodu, tak szeroko i tak nie podlegającego dyskusji, że tylko wyjątkowe okoliczności mogłyby zachwiać tym przekonaniem.

To też tłumaczy, dlaczego wpływ prezydenta Stanów na wszystkie dziedziny życia państwowego jest tak ogromny. Jest szefem rządu, jest głową państwa, dowodzi armią w czasie pokoju, a w czasie wojny jest wodzem naczelnym. Granicą jego władzy jest wola ludu, która czasem jest silniejsza niż prawo. Jakkolwiek prezydent nie ma prawa zasiadania w czasie obrad w Kongresie, ani prawa wysyłania tam swoich reprezentantów, to w praktyce z jego inicjatywy ukazują się najważniejsze ustawy.

Historia Stanów Zjednoczonych nie jest historią łatwego sukcesu, ani łatwego rozwoju. Stany przechodziły przez rozmaite kryzysy i trudności, które nie raz jeden stawały pod znakiem zapytania przyszłość młodego organizmu państwowego. Demokratyczność ustroju Stanów, wolność obywateli, siła tego organizmu państwowego, to nie przypadkowe składniki tej rzeczywistości, którą dziś oglądamy. Wola i kontrola ludu zostały rozumnie wciągnięte w działanie maszyny państwowej, która potrafiła połączyć władzę z odpowiedzialnością za jej wykonywanie, wolność obywateli, poszanowanie praw i wpływ szarego człowieka na bieg spraw państwowych z siłą i centralną władzą.

PROBLEMY FRANCUSKIE

Z Afryki francuskiej

Londyński tygodnik „The New Statesman and Nation” przynosi w numerze z dn. 20 maja b. r. niezwykle ciekawe wrażenia z podróży do francuskiej Afryki. Północnej znakomitego krytyka angielskiego Raymonda Mortimera. Uwagi te zostały następnie przedrukowane przez jerozolimski tygodnik „Forum” z dn. 23 czerwca. Oto ich fragmenty.

„Tunis, Alger i Marokko to trzy kraje o różnych historiach, różnych konstytucjach, różnej ludności i różnych problemach. Wojna — dalej — dodała nowe różnice. Dla wielu z kolonistów w Maroku wojna przyniosła mało co więcej jak niewygody. Zamknęła ona np. import towarów przemysłowych z Francji. Można też dodać, że w każdym imperium mieszkający kolonij odczuwają sympatię dla pewnych idei faszystowskich. Chociaż Francuzi marokańscy nie są proniemieccy, większość ich, podobnie jak w Algierze, Pétain od Republiki. Na odwrót, Tunis był okupowany przez armię niemiecką i jest w nim więcej Włochów niż Francuzów. Wszędzie, gdzie wygłaszałem odczyty w Północnej Afryce, zgromadziło mi jako Anglikowi znacząco entuzjastyczne przyjęcie. Ale u publiczności tuniskiej doznałem specjalnie ciepłego przyjęcia, które zawdzięczałem jej osobistej doświadczeniu wojennemu. Odrębny jest znowu Alger. Stał się on siedzibą rządu francuskiego, stolicą imperium i wielkim ośrodkiem wojskowym. Francuzi z Francji, żołnierze, deputowani, urzędnicy cywilni, uciekinierzy, wszyscy są pełni niecierpliwości powrotu. A Francuzi miejscowi, z których wielu zarekwirowano ich mieszkanka i szkoły, bardzo — rzecz prosta — byłoby zadowolony, gdyby mieli miasto znowu wyłącznie dla siebie. Niewygody życia w Algierze są dziś olbrzymie.

Wszędzie bowiem w Afryce Północnej zarówno Francuzi jak i muzułmanie muszą znosić mnóstwo niewygód. Nie ma blackoutu i bombardowanie nigdzie — z wyjątkiem, jak mi się zdaje, Bizerty — nie było zbyt poważne. Ale odbywanie podróży dla wszystkich z wyjątkiem urzędników jest bardzo utrudnione, a nawet w obrębie miast transport jest zupełnie niewystarczający. Sklepy są niemal że zupełnie puste, ponieważ polityka francuska nie było rozwijanie przemysłu w Afryce Północnej. Takie zwykłe artykuły pierwszej potrzeby, jak lampki elektryczne i motki bawełny, są nie do otrzymania. Ludność muzułmańska odczuwa rozpaczliwy brak ubrania. Co najgorsza, zapasy wielu najbardziej istotnych medykamentów są od dawna wyczerpane. Trudniej opisać sytuację żywnościową. Gość, taki jakim ja byłem, je lepiej niż w Anglii. Jego francuscy gospodarze postawili się na głowie, aby zdobyć potrawę, godną ich tradycji narodowej... Ale Francuzi, mieszkający w mieście, nie dostanie dostatecznych ilości artykułów spożywczych, jeśli nie uda się na czarny rynek... Sądzę, że takie same kłopoty mieliśmy w Palestynie... Człowiek stawia sobie pytanie, skąd ten brak żywności, jeśli przed wojną Afryka Północna eksportowała zboże, mięso, oliwę i owoce. Odpowiedź nie jest prosta. Wśród przyczyn, jak mi się wydaje, są: przyrost ludności muzułmańskiej; dwa lata posuchy; brak transportu (trzysta ciężarów, jak mi mówiono, zmieniłoby sytuację w Algierze, ponieważ na zaplecze jest obfitość żywności) i mobilizacja wielu rolników. Jest rzeczą zupełnie naturalną, że Francuzi chcieli mieć w dniu zwycięstwa jak najwięcej dywizji w polu, słyszałem — ze źródeł brytyjskich — jak najentuzjastyczniejsze relacje o zachowaniu się armii francuskiej zarówno w kampanii tuniskiej, jak i obecnie we Włoszech. Ale myślę, że gen. Giraud w swojej trosce o prestiż francuski przeoczył bardziej nagłą konieczność — konieczność intensyfikacji do ostateczności północno-afrykańskiej produkcji artykułów spożywczych, tak aby Afryka Północna mogła żywić wyzwalaną Francję. Należy mieć nadzieję, że wycofanie się gen. Giraud przyniesie pożyteczną demobilizację, zakrojoną na szeroką skalę.

Jeśliśmy uwzględnił niektóre trudności materialne Afryki Północnej, to nie dlatego, aby ganić władzę francuską. Zgromadzenie pracuje wyjątkowo dobrze i mimo braku doświadczeń ludzi

Imperium Francuskie, jest — jak sądzę — zrecznie administrowane. Ale Afryka Północna cierpi z powodu pewnych trudności, zawsze związanych z kondominium...

Stwierdziłem, iż prestiż brytyjski stoi bardzo wysoko w Afryce Północnej. Jesteśmy tam dobrze reprezentowani nie tylko przez ambasadora — Duff Cooper nie tylko lubi, ale i rozumie Francuzów — lecz i (co jest jeszcze ważniejsze) także przez wojsko. Każdy, z kim rozmawiałem, zgadza się, iż zachowanie się żołnierzy było wzorowe. Stosunki franko-amerykańskie układają się trochę mniej szczęśliwie. Perseusz nie jest zakochany w Andromedzie i jest zbyt dobrze świadomy tego, że i ona się w nim nie kocha. Stąd niebezpieczeństwo, że przeciętny amerykański żołnierz z Afryki Północnej stanie się zajadłym izolacjonistą...

Chciałbym zakończyć zwróceniem uwagi na to, co uważam za najbardziej przygnębiające i najbardziej pokrzepiające w Afryce Północnej. Najbardziej przygnębiająca rzeczą jest prasa. Francuska energia intelektualna i miłość wolności w sposób szczególnie godny podziwu znalazły wyraz w pięciu czy sześciu miesięcznikach, ale dzienniki są niewiele czym więcej niż ulotkami z nowinami. Czemuż stolica imperium nie zdobyła się na jedną gazetę, godną tego imienia?...

A rzecz najbardziej pokrzepiająca? Bez wątpienia charakter ludzi, wysłanych dla reprezentowania Francji Walczącej w Zgromadzeniu. Spotkałem tylko trzech z nich, ale każdy z tych trzech wywarł na mnie głębokie wrażenie. Wiedziałem, że są to ludzie dzielni; dowiedziałem się, że są to także ludzie mądzy. Ich inteligencja, powaga i oczywista uczciwość zdają się zapowiadać, iż wyzwolona Francja powróci do zdrowej demokracji, która będzie mogła skutecznie pracować. Obawiałem się dla Francji czegoś, co by miało pozór rządu bohaterów: obawiałem się, ponieważ większość ludzi to nie bohaterzy, i ponieważ bohaterstwo nie jest identyczne z kwalifikacjami na męża stanu. Ale jeśli ci ludzie byli w jakikolwiek sposób reprezentacyjni, obawy moje nie mają uzasadnienia.”

Z Francją czy bez Francji ?

Francuski tygodnik nowojorski „France — Amérique” zamieszcza artykuł Waltera Lippmana, poświęcony roli Francji w Europie powojennej, w którym wybitny dziennikarz amerykański odbiega nieco, jak się wydaje, od stanowiska zimnej „Realpolitik”, które zajął w swej książce o polityce zagranicznej Stanów Zjednoczonych. Oto konkluzje artykułu Lippmana:

„Nie możemy zbudować na ciępienie, przez jakie przechodził będzie Francja, co do olbrzymich trudności, na jakie napotka rozwiązanie problemów francuskich, gdy do długiego kosmaru okupacji niemieckiej przybędzie bezlitosne zniszczenie toczące się bitwy. Ci, których jedyną ambicją byłoby rządzenie Francją po wojnie, woleliby powstrzymać się od ryzyka niebezpiecznych odpowiedzialności za pierwsze miesiące. Łatwo byłoby wytłumaczyć swoim rodakom, że czynią tak zgodnie z instrukcjami swoich potężnych sojuszników. Byłoby aż nazbyt wielkim szczęściem przeczekać w cieniu i przesunąć na Churchill'a Roosevelta i Eisenhowera ciężar pierwszej odpowiedzialności. Następnie, po tym ogromnie trudnym okresie przełomu, wyszliby wolni od wszelkich zarzutów, zrzucając niezadowolone i krytykę na Londyn, Waszyngton i Moskwę.

Zresztą, nie byliśmy nawet w stanie rządzić kresami półwyspu włoskiego. Czy można przypuszczać, że jakakolwiek część Francji/metropolitalnej mogłaby być rządzona przez kogoś innego niż przez Francuzów?

Nie będzie można zawrzeć żadnego układu, dotyczącego Niemiec, a nawet skutecznego zawieszenia broni, bez pełnego porozumienia i poparcia ich europejskich sąsiadów. Wielka Brytania, Rosja i Stany Zjednoczone nie mogą dostać się do wnętrza Niemiec z ominięciem Francji, Belgii, Holandii, Danii, Polski i Czechosłowacji. Ich armie nie będą w stanie przeprowadzić okupacji bez pomocy tych narodów, które same muszą przyczynić się do wykonania czynności okupacyjnych. Bez ich udziału byłoby to budowaniem na piasku.

WACŁAW ŚLEDZINSKI

MŁODA POLSKA PODZIEMNA^{*)}

Londyn, czerwiec, 1944 r.

1. Dwa lata temu kursował w Warszawie tomik wierszy poetów emigracyjnych. Wierszy nowych, stworzonych na emigracji. Wierszy doskonałych, bo napisanych przez doskonałych poetów. I tych, którzy są w Anglii, i tych, którzy są w Ameryce. Znaliśmy mój przyjaciel, redaktor pisma konspiracyjnego, poeta i malarza, nazwijmy go Karol, powiedział mi:

— Emigracja źle wpływa na twórczość. Nasi poeci umierają z melancholii i nie więcej...

To „i nie więcej“ brzmiało w jego głosie uszczypliwie, ironicznie, nawet zjadliwie. Wyrażało zarzut — nie wiem, jak dalece słuszny — że intelektualiści polscy na emigracji płaczą dziecięcymi łzami w sposób piękny i artystyczny nad przeszłością, nad straconym skarbem wolności, że płaczą nad Polską, rozpaczają nad jej męczeństwem, osadzając sobie życie wiarą — też dziecięcą — że wrócić i wszystko będzie jak najlepiej. W powiedzeniu Karola tkwił zarzut, że poeci emigracyjni przywdziali habity zakonników, cierpiących za miliony, zamiast stanąć w pierwszym szeregu walczących. Walczących o dobrą Polskę, o dobry świat i o dobrego człowieka.

2. Tamtą rozmowę z Karolem przypominam sobie zawsze, ile razy czytam utwory emigracyjne o Kraju. I zawsze uświadomiam sobie jeden fakt: emigracja mało wie o Kraju, nie czuje Kraju, a nawet wizja Polski dzisiejszej jest u niej poprostu fałszywa. Kraj straszliwie cierpiący i czekający wybawienia — to nuta powtarzana w dziesiątkach odmian, do znudzenia. Niektórzy publicyści posuwają się w swoim nierozumieniu dzisiejszej Polski tak daleko, że widzą w niej tylko ludzi, zmaltretowanych okupacją, głodnych, niezadowolonych do jakiegokolwiek pozytywnego wysiłku umysłowego.

Tymczasem Kraj najbardziej nie znosi, gdy emigracja rozgłasza sławę jego cierpienia i gdy poeci i pisarze czerpią z jego cierpienia natchnienie do swej twórczości. Symbolem dzisiejszej rzeczywistości polskiej nie jest Oświęcim, a głód nie jest treścią życia. Polska w ciągu tych kilku lat okupacji stworzyła zupełnie nowe życie, zupełnie nowy świat. Naród polski, który nigdy nie pogodził się z narzuconą tyranją, nie opuścił również ręk, nie rozpacza nad swoim losem i cierpieniem.

3. Podziemne państwo polskie nie jest fikcją. Jest tworem realnym i potężnym. W nim należy szukać duszy dzisiejszego kraju i w nim należy widzieć symbol tego wszystkiego, co mieści się w pojęciu „Kraj“.

Karol zarzucał emigracji, że jej poeci cudownie płaczą. I że nie znaleźli swego miejsca na barykadach rewolucji, walczącej o Jutro. Jakże jest paradoks w skrzyżowaniu tych dwu myśli: emigracji o Kraju i Kraju o emigracji! Ci, którzy cierpią, których imię jest synonimem męczeństwa, chcą walki o nowego człowieka, a ci, którzy są wolni, którzy mogą jawnie walczyć, stali się piewami cierpienia i męczeństwa, opiekując z talentem Wczoraj i Dziś.

Przyszłość Polski przez przyszłość świata i odrodzenie człowieka — to brzmi banalnie, frazeologicznie, marzycielsko. Ale podziemne państwo polskie walczy o taką właśnie przyszłość. W tej frazeologii, w tym marzycielstwie tkwi realizm Kraju. Tkwi pozytywne, konstruktywne myślenie ludzi, którzy umieli wyciągnąć wnioski z bankructwa zinnego, materialistycznego realizmu świata, który skończył swój żywot 1 września 1939 r.

4. W Polsce w pierwszej linii stoi młode pokolenie. Stoją ludzie bez przeszłości i nie oglądający się na przeszłość. Odważni charakterem i odważni myślą. Ci — wiem, że nie mijam się ze ścisłością — wyciskają decydujące piętno na całym życiu kulturalnym Polski Podziemnej. Oni nadają temu życiu ton, kolor, oni tworzą ideologię. To też, gdy chcemy widzieć Kraj taki, jaki on jest, trzeba parzyć na Polskę Podziemną; gdy chcemy poznać duszę i odcyfrować myśl Polski Podziemnej — trzeba patrzeć na młode pokolenie i konspiratorów. A w każdym razie, myśląc o Kraju, nie można sobie wyobrazić go jako Chrystusa demokracji, wiszącego na krzyżu i konającego w męczeństwie.

W pierwszej połowie 1944 r. nadszedł do Londynu raport z Kraju, w którym dobitnie podkreślona została wielka rola młodego pokolenia w życiu Polski Podziemnej. „Młodzież i ludzi młodych — czytamy tam — tych wszystkich, którzy byli wychowywani w wolnej Polsce, łączy wspólny rys. Jest nim ogromna, oparta na przekonaniu i przemyśleniu — wiara w Polskę, w jej wielkie wartości kulturalne, które wnosiła i wniesie do ogólnego dobroku ludzkości. Młodzież poczuwa się do odpowiedzialności za przyszłość losy Kraju. Chce dać Polsce nową rzeczywistość i nie tylko Polskę, ale przez nią całemu światu“.

Jest w tym pewien paradoks, ale i równocześnie rys — jakże piękny, jakże wspaniały, jakże wielki! Oto ci, którzy doświadczają największych w dziejach przesładowań, którzy są przedmiotem najstraszliwszej rzezi, jaką kiedykolwiek znał świat, poczuwają się powo-

łani do walki o zmianę oblicza dzisiejszego podłego świata... Może jest to wyrazem buntu zdrowych, choć cierpiących, może jest to jakimś mesjanizmem, zrodzonym z cierpienia, a może tylko zimnym wyciągnięciem wniosków z przyczyn upadku Europy i świata. W każdym razie, przede wszystkim jest to dowodem ogromnych wartości myśli, ogromnej kultury myślowej Młodej Polski, pracującej w konspiracji.

Polska Podziemna — to świat szczerze zamknięty, tajemniczy, a przez to mało znany. Właściwie — nieznanym w ogóle. Odsłoniłmy jednak rąbek tajemnicy. Spójrzmy na pracę młodego pokolenia intelektualistów polskich. Popróbujmy poznać myśli, dążenia i drogi walki młodzieży krajowej.

5. Głównym ośrodkiem pracy młodej Polski Podziemnej, pracy promieniującej duchem i myślą na cały Kraj, jest Warszawa. Dzisiejsza Młoda Warszawa — jak pisał wspomniany raport — „nieustannie myśli i wypowiada się na temat, który ją nurtuje najgłębiej: to jest zagadnienie odrodzenia człowieka“. Istotnie, w pismach grup młodzieżowych — a jest tych pism w jednej tylko Warszawie przeszło dwadzieścia — zagadnienie to stanowi temat niezliczonych artykułów i pasjonujących dyskusji. Nie jest rzeczą bez znaczenia, że poziom publicystyki młodej Polski Podziemnej jest wysoki, a dyskusje mają charakter wspólnego poszukiwania prawdy, bez narzucania sobie nawzajem własnych poglądów.

Leży przede mną kilkanaście egzemplarzy tajnych pism młodzieżowych. Pism różnych kierunków, wydawanych przeważnie w Warszawie. Wszystkie pochodzą z ostatnich miesięcy, a więc myśli w nich wypowiedziane odzwierciedlają — jeśli tak można powiedzieć — aktualną myśl młodego pokolenia polskiego w Kraju.

Niewątpliwie najpoważniejszym i najsilniejszym ruchem młodzieżowym w Kraju jest ruch socjalistyczny. W ciągu kilku lat pracy konspiracyjnej młodzi socjaliści polscy wybitnie wpłynęli na ukształtowanie się oblicza Polski Podziemnej. Posługując się oklepanym frazesem, który jednak w tym wypadku może być trafnie użyty, trzymają oni mocno w swoim ręku sztandar socjalizmu polskiego i stali się wspaniałymi dziedzicami puścizny wielkich wodzów tego ruchu. Myśl przewodnią pracy młodego pokolenia socjalistów może najtrafniej ująć jeden z artykułów czołowego, kapitalnie redagowanego pisma młodzieży socjalistycznej „Płomienie“, w którym czytamy: „...Podkreślamy teraz to, co wspólne, co najważniejsze: przekonanie, że współczesność, a z nią socjalizm, przekroczyła już epokę prymatu zagadnień ekonomicznych; że czas dzisiejszy jest, a raczej zaczyna być, epoką prymatu zagadnień kultury“.

W pojęciach młodych socjalistów kulturalne wartości socjalizmu i zasadnicze wartości kultury europejskiej są wspólne. „Wojna — piszą „Płomienie“ — przyspiesza upadek kapitalizmu, a tym samym usuwa podstawowe różnice pomiędzy światem robotniczym a resztą społeczeństwa“. Zarysowuje się możliwość opracowania wspólnego stanowiska wobec odbudowy powojennego świata, opartego na uspołecznionej gospodarce“.

Dążność do przekształcenia duszy człowieka, do uszlachetnienia jej, albo jeszcze prościej: do odrodzenia człowieka — jest przede wszystkim dążnością młodzieży socjalistycznej. W doskonałym czasopiśmie „Życie Sztuki“ czytamy: „...Wszystkie idee sprowadzają się w konsekwencji do ludzi, którzy je będą realizować, oraz do problemu wychowania tych ludzi. Wraz z przebudową gospodarczą musi nastąpić ukształtowanie człowieka“. Młodzi socjaliści nie operują jednak błyskotliwymi hasłami, nie rzucają sloganów, które miałyby zastąpić realne myśli. Przeciwnie — prze-myślowują rzetelnie zagadnienia i występują

z rzetelnie przemyślanymi koncepcjami. „Zadaniem naszej przyszłości — stwierdzają „Płomienie“ — jest stworzenie nowego stylu życia i ogarnięcie jego sprawdzianem wszystkich dziedzin ludzkiej działalności“. Inne pismo młodych socjalistów, „Dźwig“, powiada: „Walczyć o nowy świat, o nowe życie, o to, do czego tęsknimy: o kulturę jednolitą, kulturę prawdziwie humanistyczną, wierną człowiekowi, do której tęskni dziś cały świat“.

Znamiennym objawem młodzieży socjalistycznej jest odwrót od socjalizmu marksowskiego, a nawet często powtarzane krytyczne wypowiedzi na temat tego socjalizmu. W „Płomieniach“ czytamy: „Dogmatycznie marksowska teoria kultury i etyki była najpotężniejszą przeszkodą w dążeniu do przywrócenia ruchowi pierwotnego napięcia i znaczenia“.

Młodzi syndykaliści wydają pismo p. t. „Myśl“. Jest ono bojowe, podobnie jak pisma socjalistyczne. „Walczyć o wolność ludzką — czytamy w jednym artykule — ale nie liberalistyczną. My chcemy wprowadzić nową moralność produkcji i szczęścia, chcemy wielkiej, planowej gospodarki państwa, chcemy, aby odrobiono to, co było w ciągu tylu wieków zaniedbane i lekceważone. Chcemy sprawiedliwości dla wszystkich!“ W dziedzinie zagadnień kulturalnych syndykaliści stoją na stanowisku konieczności upowszechnienia dóbr kulturalnych oraz wciągnięcia wszystkich do pracy do tworzenia tych dóbr. „Za największe dobro, które należy udostępnić wszystkim, uważamy pracę, pracę twórczą dla dobra powszechnego“.

Ruchliwa jest młodzież ludowa. Jej czołowy organ „Młodzież“ poświęcony jest przede wszystkim zagadnieniom kulturalnym. Też, wypowiedziane przez pismo, nie mają charakteru dogmatycznego. Wskazują one zagadnienia zasadnicze z celem wywołania pewnego niepokoju wewnętrznego, z którego ma z kolei wyrósć coś pozytywnego. W artykułach „Młodzieży“ i innych pism ludowych najbardziej zadziwia kultura pisarska i głębokość wypowiedzianych myśli. „Musimy głosić nie nienawiść zła, bo jej jest dosyć — pisze „Młodzież“ — lecz miłość dobra. Musimy tworzyć. Musimy budować, bo dobro tylko w oparciu o miłość jest trwałe i słuszne. Pragniemy zachować na stałe w wolnej Polsce i może w przyszłości w zjednoczonej Europie“. W innym artykule pismo stwierdza: „Wartość życia tkwiła zawsze i tkwić będzie w gotowości i umiejętności służenia wyższemu celom. Cel taki musi każdy sam sobie wytknąć, a drogę do urzeczywistnienia wykuć w usilnej pracy nad sobą. Taki jest a nie inny sens młodości“.

„Młoda Polska“, „Praca i Walka“, „Patrol“, „Młodzież Imperium“, „Sztuka i Naród“ — to pisma warszawskich grup młodzieży narodowej. Na najwyższym poziomie stoi „Sztuka i Naród“, pismo raczej literackie, dążące do zdynamizowania kultury polskiej i oczyszczenia jej z pierwiastków obcych. „Z biernej odbiorczyni — czytamy w „SIN“ — kultura nasza przemieniła się ma w uderzeniową, która wpływem swoim sięgnie głęboko na wschód i na zachód, na skrzyżowaniu bowiem dróg, gdzie leży Polska, nie ma miejsca na słabość i bierność“.

„SIN“ nie zachwyca się twórczością emigracji polskiej. W artykule, poświęconym poezji, tworzonej na emigracji, pismo pisze z żalem: „Czyn artystyczny. Tak, pięknoduchy. Poezja ma wychowywać: nie tylko bawić, urzekać, — ma wychowywać!“

Organem młodych demokratów-piśsudczyków jest „Dziś i Jutro“, pismo poświęcone wychowaniu, kulturze i odrodzeniu społeczeństwa. „Polska ma się zdobyć na heroiczny wysiłek — czytamy w jednym artykule — aby wielkim skokiem przesadzić trzęsawisko zaniedbania i rozegrać dziejową partię o swe stanowisko. Jedno pokolenie, nasze pokolenie, ma dźwignąć ciężar odpowiedzialności“. Inne

pismo młodzieży demokratycznej, „Państwo Młodych“, powiada: „Różnica między nami i starymi jest duża. Oni mają ideę władzy — my mamy ideę Polski, oni wyzywają się w sporach wewnętrznych — my wyzywamy się w walce o przyszłość, oni odchodzą — my idziemy. Wzajemnie siebie rozumiemy, tylko my mówimy starym: idziemy, a oni próbują tego nie słyszeć“.

Oparcie kultury polskiej o etykę chrześcijańską — to dążenie organu Frontu Odrodzenia Polski p. t. „Prawda Młodych“. Z artykułów tego pisma przebiega chęć wypracowania nowego typu człowieka, którego życie będzie oparte na ujednoliciu normach etycznych, wypływających z zasad prawa natury przyrodzonego: „Taką będzie przyszłość, jakim będzie człowiek Jutra. Bo wszystko dobre i złe na świecie sprawuje się przez człowieka. Każde pokolenie odpowiada za swój wiek i za ożimie, przezeń posianą, a mającą zakiełkować w wieku przyszłym“. W innym artykule „Prawdy Młodych“ czytamy: „Dziś żołnierze, jutro powstańcy, pojutrze musimy stać się pracownikami pokoju. O prawo do twórczości, o prawo do piękna, o prawo do wszechobecnej miłości walczyć!“.

Szermierzami demokratycznej przyszłości Polski i świata są harcerze. Oni wydają bodaj najwięcej pism młodzieżowych i oni najdobitniej, w formie najbardziej przekonującej głoszą hasła wychowania nowego typu człowieka i przebudowy świata. We wszystkich pismach harcerskich, zresztą nie tylko harcerskich, ciągle przewija się ta sama nuta: nie chcemy odbudowy świata, nie chcemy restauracji przeszłości. Młodzi piśsudczycy w swoim „Państwie Młodych“ powiadają: „Wali się świat do góry nogami, niech się wali, pomóżmy mu do tego, niech runie zupełnie; ze zmurszałym światem wali się potęga zła, dyktatura starości, rozpada się podłość i egoizm“. Czołowy organ harcerzy „Pismo Młodych“ uderza w ten sam ton: „Pokolenie nasze wie, że nie wolno świata odbudować, bo byśmy się w nim udusili. My musimy świat przebudować, zmienić. Najistotniejszą zmianą będzie zniszczenie krzywdy, gdziekolwiek ona jest“.

W żadnym piśmie młodzieży nie ma cienia rozpacz nad przeszłością. Nie ma go też w pismach harcerskich. „Żal za tym, co zginęło — pisze organ harcerów „Krag“ — ustępuje miejsca powoli fali twórczych pomysłów, nowego ujęcia tego, co zostało“. Podobnie jak inne grupy młodzieżowe, również grupy harcerskie, badają stare pojęcia, szukając w nich nowej treści, nie chcąc buńczucznie odrzucać wszystkiego, co stare. Pojęcie patriotyzmu jest przedmiotem gorących dyskusji pism młodzieżowych. Podniętę do tych dyskusji dał w pierwszym rzędzie słynny manifest Mouniera¹⁾ w sprawie personalizmu; idea Mouniera stała się ogromnie popularna wśród młodzieży krajowej, zwłaszcza socjalistycznej i harcerskiej. Harcerski „Biuletyn M“ mówi: „Uczucia patriotyczne przywołane zostały jakby do podmiotowego podłoża, z którego powinny się rozdzielić wszędzie i zawsze. Straciły retoryczny patos. Ale zyskały głębię, szczerłość i skromność rzeczy, przeżywanych naprawdę. Weszły w skład osobistej uczciwości, jako postawy godnej człowieka“.

Niemal wszystkie pisma młodzieżowe hołdują wielkim ideom, szukają wielkich prawd i wysuwają koncepcje globalne. Nawet organ młodzieży lotniczej „Wzlot“ powiada: „Postawiliśmy sobie zadanie zbratania narodów, jako wielki i dalekosiężny cel naszych prac“. Zadaniem tego pisma jest m. inn. przemyślenie wzajemnego stosunku kultury do techniki: „Technika powinna w przyszłym powojennym życiu służyć kulturze, a wtedy stanie się nareszcie dobrodziejstwem ludzkości. Rolą lotnictwa będzie wówczas nie niszczyć, ale misja pokojowa — łączyć narodów przez ułatwienie ich współpracy przy wymianie dóbr kulturalnych i cywilizacyjnych“.

6. Przytoczone tu cytaty dają obraz myśli młodego pokolenia polskiego w Kraju. Dają pojęcie o pozycji młodego pokolenia, o sposobie i kierunkach myśli. Dają wreszcie pojęcie o wartościach młodzieży polskiej.

Młodzież myśli poważnie. Bardzo poważnie, o sobie przecież. Młode pokolenie polskie w Kraju walczy o przyszłość Polski, o przyszłość świata, o nową cywilizację, o nową kulturę człowieka.

Przeglądając tajną prasę młodzieżową, nie sposób nie zauważyć, że nie ma w niej cienia sporów wewnętrznych. Przeciwnie, bez względu na to, jaki charakter ideologiczny reprezentują poszczególne grupy, widać, że wszystkie one idą jedną drogą, że łączy je jeden wspólny wielki cel. Podamy chociaż jeden przykład: pozytywny stosunek młodych socjalistów do młodych katolików: „Jesteśmy zdania — piszą „Płomienie“ — że sprzeczność między nami nie jest dzisiaj konieczna. Znamy francuski katolicyzm i jesteśmy pełni podziwu dla rzetelności myślowej, jakiej tam dokonano“.

Młodzież polska w Kraju stanęła na wysokości zadania. Mało — przekroczyła tę wysokość. Spełnia funkcję wielką, misyjną. Szuka dróg i je znajduje. Rewolucjonizuje Polskę i wierzy we własne siły.

Myśli — nie traci czasu, walczy — nie płacze, idzie — nie patrzy w przeszłość.

NOWY MODEL

ZENITH

AMERYKA

Nadeszły aparaty radiowe:
7-mio lampowe na akumulator 6 volt
oraz na prąd 115 i 235 volt
Przedstawicielstwo:

BRACIA SWISŁOCCY, TEL-AVIV, Allenby 35

TWÓJ WYPOCZYNEK

na wybrzeżu, w chłodnym lokalu
przy dobrym śniadaniu, świetnym
obiedzie i znakomitej kolacji

tylko w CAFE — RESTAURANT

"ZUCKER"

Tel-Aviv, Trumpeldor 4 — Tel. 3737

— Obsługa i kuchnia polska! —

*) Autor artykułu przybył nie dawno do Londynu z Kraju, gdzie przez dwa i pół roku pracował w ruchu podziemnym.

HENRYK ZYLBERLAST

PROBLEMY POZAPRAWNE W ZAGADNIENIU NIEMIECKICH ZBRODNI WOJENNYCH

Zagadnienie istoty i karalności zbrodni wojennych jest zagadnieniem trudnym i złożonym.

Zarówno „communis opinio doctorum”, jak i, co ważniejsze, poczucie porządku prawnego społeczeństw, domagają się ukarania przestępców wojennych. Rządy Narodów Sprzymierzonych uznają ukaranie przestępców wojennych za jeden z głównych celów wojny.

Mimo to wykonanie tego postulatów napotyka na wielkie trudności, nierozwiązane dotychczas ani przez doktrynę, ani, tym bardziej, przez szczytą w tym zakresie praktykę sądową.

Wątpliwości dotyczą wszystkich podstawowych zagadnień prawa materialnego i procesowego. Najdalej idąca różnorodność poglądów obejmuje kwestie, co jest zbrodnią, ściślej: przestępstwem wojennym, kto ma być ukarany, jakie prawo ma być zastosowane, jaki sąd ma sądzić.

Z punktu widzenia obowiązującego ustawodawstwa kardynalną trudnością do pokonania jest moc wiążąca zasady: „Prawo nie działa wstecz”. Zasada ta, stanowiąca rozwinięcie zasady: „nullum crimen sine lege”, jest jednym z najdonioślejszych osiągnięć myśli prawniczej. Nie można podważać jej mocy obowiązującej bez jednoczesnego zagrożenia w punkcie najbardziej czułym całego systemu praw człowieka i obywatela.

Z konieczności jednak akty ustawodawcze, skierowane przeciw zbrodniarzom wojennym, naruszają tę zasadę. Zważywszy, dla najprostszego przykładu, że dekret Prezydenta Rzpltej o zbrodniach wojennych, datowany dnia 30 marca 1943 r., a wchodzący w życie z dniem ogłoszenia w Dzienniku Ustaw, t. j. 31 marca 1943 r., przewiduje karalność przestępstw, popełnionych po dniu 31 sierpnia 1939 r., to jest w okresie trzech i pół zgora lat, poprzedzających wydanie dekretu.

Drugie wielkiej wagi zagadnienie prawne nie dotyczy już wprawdzie samej istoty przestępstwa, lecz, fałszywie pojęte, stanowi może nieprzewidywalną przeszkodę dla praktycznego wyrokowania.

Niewątpliwie, co zresztą potwierdza doświadczenie ubiegłej wojny (procesy „lipskie”), przestępcy wojenni będą się bronić t. zw. „działaniem na rozkaz”. Oficer, który zarządził rozstrzelanie zakładników, powie, że wykonał tylko rozkaz dowódcy. Ten powoła się na rozkaz przełożonego w hierarchii i t. d. Niewykonanie rozkazu mogło być nieposłusznego wykonawcę narażać na najsurowsze represje — w trybie uproszczonego wyrokowania sądów wojennych — nawet na karę śmierci. Wykonawca rozkazu będzie więc twierdził, że zaistniał dlań t. zw. „stan wyższej konieczności”, doskonale znany doktrynie i praktyce prawa karnego.

Gdy do przepełnionej łodzi ratunkowej stara się dopłynąć jeszcze jeden rozbiitek i, być może, narażać łódź na zatonięcie, każdy z pasażerów łodzi może go bezkarnie stracić w otchłani. Bohaterka jednej z powieści Gide'a opowiada, że doświadczeni marynarze zabierają z sobą na łódź topory — dla odrabiania rąk czepiających się łodzi rozbitków. I ten nawet brutalny, ponury czyn pozostałby bezkarny, o ile tylko obawa zatonięcia łodzi była rzeczywista i dostatecznie uzasadniona.

Należy przy tym pamiętać, że w zagadnieniu „działania na rozkaz” stan wyższej konieczności jest tylko jednym, najważniejszym może, lecz nie jedynym, z aspektów. Istnieją i inne. Np. moralno-prawne znaczenie przysięgi na wierność i posłuszeństwo rozkazom.

Oczywiście, dopuszczenie możliwości obrony „działania na rozkaz” w praktyce równałoby się całkowitej bezkarności zbrodniarzy wojennych. Szczególnie paraliżujące wszelki wymiar sprawiedliwości byłoby stosowanie tej zasady w stosunku do zbrodniarzy, będących w służbie kraju, w którym wszelka władza pochodzi od Führera. Ustrój ten opiera się, według słów samego Hitlera, na wydawaniu rozkazów w dół i odpowiedzialności w górę.¹⁾ Ustrój hitlerowski porównywano do piramidy, u której szczytu stoi sam Hitler. U ostatecznego źródła każdego rozkazu mogłaby więc odnaleźć Hitlera.

Fakt, że z samego wstępu zagadnienia napotykały na tyle trudności prawnych, prowadzi nas do wniosku, że punkt ciężkości zagadnienia nie leży bynajmniej w dziedzinie prawnej.

Zagadnienie zbrodni wojennych obejmuje skomplikowane problemy moralne, polityczne i prawne. Problemom prawnym tego zagadnienia poświęcamy najwięcej uwagi, ponieważ są najlepiej dostrzegalne i najbardziej konkretne. Nie znaczy to, by problemy moralne i polityczne były mniejszego znaczenia. Norma prawna jest związana z normą moralną. System prawny możemy sobie wyobrazić, jako skomplikowaną maszynę, dzięki sprawnemu działaniu której społeczeństwo osiąga pewne, poza systemem prawnym stojące, cele. Gdy cele te nie są dostatecznie jasno i wyraźnie sprecyzowane, system prawny

nie może działać w sposób zadowalający. Jest to szczególnie prawdziwe w wypadku zbrodni wojennych, ponieważ mamy tu do czynienia z dwójką funkcją prawa, rozdzieloną tak wyraźnie, jak może w małym innym problemie prawnym doby obecnej. Z jednej strony chodzi o stosowanie prawa w jego mocy obowiązującej w chwili obecnej; z drugiej — przez stosowanie prawa w jego postaci obecnej — o kładzenie podwalin pod nowy i lepszy system prawny, na którym mogłaby wyrosnąć i rozwijać się nowa społeczność narodów.

Próba pojednania między przeszłością a przyszłością stawia normie prawnej zadanie tak trudne, że nie może być ono rozwiązane, nie może być nawet badane inaczej niż w ścisłym oparciu o normę moralną.

W konkretnym problemie moralnym, w problemie winy i odpowiedzialności za zbrodnie niemieckie, na plan pierwszy wysuwa się zagadnienie, czy ustrój hitlerowski jest pod przymusem narzuconą narodowi formą rządów despotycznych, czy też, przeciwnie, ustrój ten jest formą bytu, wyrosłą z ducha i kultury niemieckiej, kultury, której ostateczną znaną nam formą jest dążenie do samounicestwienia. Oczywiście, zagadnienie, które poruszamy, nie jest zagadnieniem czysto moralnym. Nie wiemy, czy zagadnienie czysto moralne istnieje. W aspekcie prawnym łączy się ono z etiologią przestępstwa, w aspekcie politycznym — z zagadnieniem t. zw. dobrych i złych Niemców. Opinię społeczeństwa polskiego, Kraju i Emigracji, najlepiej zdaje się przedstawiać oświadczenie, złożone przez premiera Mikołajczyka w wywiadzie, udzielonym gazecie „Manchester Guardian” w dniu 4 czerwca r. b.²⁾ Brzmie ono: „Terror, wykonywany przez Niemcy, przez tajną policję i urzędników, plutony egzekucyjne i sądy specjalne, nie jest przypisywany przez Polaków żadnej partii politycznej lub siłom zbrojnym Rzeszy, lecz całemu Niemcom i niemieckiemu narodowi”.

Oświadczenie odzwierciedla stronę emocjonalną zagadnienia. Ujmując sprawę prawniczo, moglibyśmy powiedzieć, że daje ono wyraz poczuciu prawnemu pokrzywdzonego, którym jest w każdym poszczególnym wypadku obywatel polski, w całokształcie procesu — naród polski.

Piszący podejmuje próbę przedstawienia tła zbrodni, wskazania na historyczną podbudowę oskarżenia. Oczywiście, nie będzie to próba ani nowa, ani oryginalna. Podjęcie jej w krótkim szkicu wydaje się jednak celowym dla przygotowania czytelnika do analizy prawnej zagadnienia. Omawiając moc wiążącą zasady: „Prawo nie działa wstecz”, prawnicy³⁾ kładą największy nacisk na to, że zbrodnia wojenna, nawet gdy nie była w chwili popełnienia zagrożona karą, nie mogła w zdrowym moralnym osądzie budzić żadnej wątpliwości, że jest grzechem, w słusznym prawnym osądzie — że jest przestępstwem.

Dlatego musimy wiedzieć, czy została ona popełniona pod przymusem, idącym z góry od dyktatora, — prawem owej piramidy, najcięższy nacisk wywierającej na stoje najniższe, czy też mogła być i była wartościowana moralnie i po zbadaniu nie odrzucona przez członka społeczeństwa o moralności specyficznej, różnej od moralności innych narodów.

W zagadnieniu nawet tak ściśle na pozór prawniczym, jak w sprawie „działania na rozkaz”, nie dalekoby nas zaprowadziła czysto prawna ocena i spekulacja. Istotnym jest, czy przestępca niemiecki, działając na rozkaz, popełnił zbrodnię dlatego, że tak mu kazano, czy też dlatego, że dojrzał on całym swym jestestwem do popełnienia zbrodni. Popełnił ją, w wielu wypadkach, na rozkaz, lecz bez względu na rozkaz, niezależnie od rozkazu — popełnił zbrodnię, bo był przestępcą i chciał popełnić zbrodnię.

Cezar pisze o Germanach: „Nienawidzą oni pokoju, pogardzają sztuką, są gwałtowni i nieokleśniani”.

Tacyt opisuje ich jako ludzi „o ciałach wielkich i białych, dzikich, niebieskich oczach i czerwono-blonde włosach”. Nie czcili oni bogów w świątyniach, a pojęcie bóstwa łączyli z uczuciem tajemnego lęku, którego doznawali przed nieznaną siłą, z uczuciem „strachu świętego — sacer horror”.

„Słabością i lenistwem wydaje im się zdobywanie w pocie czoła tego, co można zdobyć krwią” — to słowa Tacyta.

W osiemnastym wieku później, w r. 1834, Henryk Heine pisze w proroczym natchnieniu swój akt oskarżenia przeciw Germanom. Oto on:

„Niemiecka rewolucja nie okazała się ani łagodniejsza, ani mniej krwawa dlatego, że była ona poprzedzona kantowską krytyką, transcendentalnym idealizmem Fichtego, czy nawet filozofią natury. Doktryny te rozbudzały drżące siły rewolucyjne, które czekają tylko na to, by wybuchnąć i wypełnić świat terrorem i przerażeniem. Bo jeśli młot kantow-

skiego wyznawcy uderza mocno i pewnie, dzieje się to dlatego, że serce jego nie żywi żadnego tradycyjnego szacunku, bo jeśli zwolennik Fichtego odważnie wyzywa wszelkie niebezpieczeństwo, dzieje się tak, bo po prostu żadne niebezpieczeństwo nie istnieje dlań w rzeczywistości; równie przerażająca będzie filozofia natury tym, że, zjednoczywszy w sobie wszystkie prymitywne siły natury, przywróci do życia demoniczne moce dawnego germańskiego panteizmu; obudzi się wtedy stara rozkosz walki, którą znali dawni Germanie — duch, który walczy, nie, by zdobywać lub niszczyć, lecz prosto po to, by walczyć”.

Heine pisze dalej, że „najpiękniejszą usługą chrześcijaństwa było to, że w pewnym stopniu zdołało ono poskromić ową brutalną germańską rozkosz walki, nie potrafiło jednak zniszczyć jej; a gdy złamany zostanie krzyż, ten ujarzmiający talizman, znowu wychyli głowę dzicz dawnych wojowników. Stare bożki kamienne opuszczają zapomniane ruiny, otrą z oczu proch tysiącleci i na koniec Thor podniesie swój olbrzymi młot i roztraska gotyckie katedry”.

Poeta niemiecki bije na alarm:

„Nie śmiecie się z mej rady, rady marnotrawcy, który ostrzega was przed zwolennikami Kanta, Fichtego i filozofii natury. Nie wyszydźcie fantazji człowieka, przewidującego w dziedzinie rzeczywistości tę samą rewolucję, która miała miejsce w dziedzinie ducha. Myśl poprzedza czyn, jak błyskawica poprzedza grzmot. Grzmot niemiecki ma niemieckie cechy, nie jest zbyt szybki — toczy się powoli. Ale zagrzmie z pewnością, a gdy usłyszycie huk, jakiego nie słyszeliście jeszcze nigdy w dziejach świata, wiedźcie, że wreszcie uderzył germański piorun. W zawirusze tej orły spadną martwe z niebios, a lwy w najodleglejszych pustyniach Afryki podwiną ogony i zaczęją się do swych królewskich jaskiń. Wtedy rozegra się w Niemczech dramat, w porównaniu z którym francuska rewolucja wyda się niewinną sielanką”.

W przeszło sto lat później, w przedmnie dramatu, pogodny i zrównoważony angielski pisarz Louis Bromfield⁴⁾ tak opisuje pochod nazistowskiej sztafety:

„Co drugi człowiek w pochodzie niósł pochodnię, grzającą płomień nadawały całemu obrazowi jakieś barbarzyńskie piętno. Przez czas pewien patrzyliśmy w milczeniu i myśleliśmy: tak samo musieli wyglądać, gdy przywiązani jeden do drugiego sznurami, wychodzili z błot i lasów Germanii, by walczyć przeciw Cezarowi... Milczenie nakazywała nam świadomość, że jest za późno, by ich zatrzymać... Widziałem ich, jak wychodzili z zielonych lasów, szli poprzez białe pola pszenicy, szli tacy sami, jakimi ich widziałem w r. 1914, jakimi miałem ich zobaczyć raz jeszcze w r. 1940, jakimi widzieli ich Rzymianie, którzy żyli niegdyś w tym samym mieście, — ciągnących z północy, by rabować i gwałcić, palić i niszczyć ziemię, której pożąдали, i cywilizację Południa. Tak szli przez Europę od rzymskich czasów”.

Kiedy się ów nawrót do germańskich bożków rozpoczyna w historii nowożytnej Niemiec, nie wiemy dokładnie. Być może, za panowania Fryderyka Wielkiego sukcesy wojenne przywróciły Niemcom „rozkosz walki”. Dzielnego króla stawiła czoła uzbrojonomu światu, nie mając szans na zwycięstwo. Przez 20 przeszło lat wojny silnie trzymał w szponach gwałtem i podłością zdobytą ziemię śląską, a wreszcie wojnę i ziemię wygrał ostatecznie. Tym położył podwaliny niemieckiego militarizmu. Warto zaznaczyć, że zdaniem niemieckiego uczonego, Bernhardiego, Śląsk byłby mniej wart dla Prus, gdyby go Fryderyk zdobył w drodze pokojowych rokowań. Nie jest więc niczym nowym cyniczna formuła Hitlera, że lepiej cele wywalczyć do końca, stosownie do biologicznych zasad walki o byt i doboru naturalnego, niż osiągać je przy pomocy argumentów i rozsądku, przy których zawsze występuje możliwość pojednania⁵⁾.

Nie wiemy, czy w czasach Fryderyka Wielkiego operowano sloganami i czy znano już hasło: „armaty zamiast masła”. Jednakowoż naród niemiecki okazał się już wtedy zdolnym do najdalej idących ograniczeń na rzecz machiny wojennej. Sukces królewski porwał naród, „rozpalili pychę narodową, rozgrzał zapał narodowy, który w Niemczech nazywano żądłem pruskim” — jak to stwierdza świadek nie byłby jakimś hr. Mirabeau⁶⁾.

W dziedzinie czynu i ducha Prusy przodowały Niemcom. Sam wielki Kant był Prusakiem. Prusakiem był jego uczeń, Johan Gotfried Herder. Gdziekolwiek żył i pisał Niemiec owego okresu, natchnienia szukał w skoszarowanych Prusach. Pruski systemat filozoficzny zbudował

wali dwaj znakomici uczniowie Kanta: J. G. Herder i J. G. Fichte.

Praca Fichtego „Zamknięte państwo handlowe” (Der geschlossene Handelsstaat) była zupełną antytezą „Bogactwa narodów” Adama Smitha i w gruncie rzeczy mieściła w sobie wszystkie koncepcje ekonomiczne nazistowskich Niemiec: samowystarczalność gospodarczą państwa, walutę o przymusowej wartości, planowaną ekonomię państwową i wreszcie przestrzeń życiową — „Lebensraum”.

Ojciec filozofów, Kant, zbyt surowo może potraktowany przez Heinego, pisał o „Wiecznym pokoju”. Nikt z jego niemieckich współczesnych i następów nie kontynuował w tym względzie nauki królewieckiego myśliciela. Herder, Hegel, Ranke, Treitschke, i Bernhardt, i tylu, tylu innych pomniejszych aż po wielkiego Nietzschego — to wyznawcy krwiożerczych germańskich bożków wojny. Tak oto pisze Hegel w swym zawiłym języku: „Wojna ma to najwyższe znaczenie, że dzięki jej działaniu zachowuje się zdrowie moralne narodów w ich obojętności dla utrwalenia swych instytucji w formie ostatecznej; tak jak podmuch wiatru chroni wodę w morzu od zatrucia, któreby przyniosła zbyt długo trwająca cisza, tak zepsucie i gnienie narodów, byżoby skutkiem zbyt długiego, nie mówiąc już wiecznego, pokoju⁷⁾”. Niedaleko już było od tej heglowskiej opinii do praktycznej rady Treitschkego: „Jest powołanie boskie wszędzie, gdzie zjawia się korzystna okazja, by zaatakować sąsiada i rozszerzyć własne granice”.

Podobnie nietzscheańskiemu Nadezwłowiekowi torował drogę Herder, którego filozofia rozgrzeszała każdy czyn ludzki, bo jest on sam w sobie piękny, bo człowiek jest częścią stworzenia i nawet gdy, folgując swym namietnościom, dopuszcza się najbardziej gwałtownych „wykroczeń”, posłuszny jest tylko prawom nie mniej pięknym od tych, co rządzą ruchami ciał niebieskich. Wielki apostoł wojny, Fryderyk Nietzsche, kładzie w usta Zaratustry słowa, do których już nie dodać i od których niczego ująć nie potrafią Adolf Hitler i Alfred Rosenberg: „Meżczyzna musi być zaprawiany do wojny, kobieta winna być wytchnieniem wojownika, wszystko inne jest niegodziwością. Kochać winniście pokój jako środek do nowej wojny; i krótki pokój więcej niż długi. Nie nakazuję wam pracować, nakazuję wam walczyć. Mówicie, że dobra przyczyna usługuje wojnę, ja zaś wam powiadam, że to dobra wojna usługuje każdą przyczynę⁸⁾”.

Przepis zaś, jak należy prowadzić niemieckie wojny w wieku XX-tym, sformułował raczył w zaraniu tego wieku Jego Cesarski Majestat, Wilhelm II. Tymi oto słowy Cesarz Niemiecki zęgnął w Bremie 27 lipca 1900 r. niemiecki korpus ekspedycyjny, wyruszający do Chin:

„Gdy spotkacie nieprzyjaciela, pokonacie go. Nie będziecie dawać pardonu, nie będziecie brać jeńców. Niech ci, co dostaną się w wasze ręce, będą na waszej łasce. Jak tysiąc lat temu Hunnowie pod wodzą Attyli zdobyli sobie chwałę męstwa, w której żyją po dziś dzień w historycznej tradycji, tak niech dzisiaj imię „Niemiec” będzie znane w Chinach w ten sposób, by nigdy już żaden Chińczyk nie śmiał spojrzeć spość łba na Niemca”.

Byłoby chyba dość naiwnym, gdybyśmy w tym miejscu mieli zauważyć, że Konwencje Haskie zabraniają „nie dawania pardonu i nie brania jeńców”.

Zaprawdę — dziadom i ojcom naszym było już danym ujrzyć niemiecką błyskawicę, nasze zmęczone pokolenie dwukrotnie usłyszało grzmot, od którego świat zadrżał w posadach.

Niemcy żywią kult mistyczny i zabobny siły. W naturze siły leży, iż gnie się ona przed większą siłą. Nietzsche widzi wszędzie wolę mocy, znajdującą wyraz w wydawaniu rozkazów — kiedy jest to tylko możliwym, w posłuszeństwie rozkazom — w braku innych możliwości. W kulcie siły, być może, znajdujemy wyjaśnienie owego ślepego posłuszeństwa, do którego Niemiec jest z natury zdolny. Niemcy czczą siłę, wierzą, że jeśli przynosi ona powodzenie, jest prawem. Idea, że siła to prawo, jest głęboko zakorzeniona w sercu niemieckim. Można ją odnaleźć w czasach bardzo dawnych. Żył w podświadomości (jeśli trzeba użyć tego terminu), występowała na zewnątrz w bardzo świadomych przejawach woli narodu. Uzasadnienie naukowe w całkowicie wykończonym systemacie filozoficznym znalazła idea siły już w końcu XVIII wieku, gdy Hegel stworzył teorię wszechwładzy, wszechpotęgi państwa — absolutu, którego

¹⁾ Mirabeau, Tableau de la monarchie prusienne, Londres 1788, t. III, str. 661; cytowane za Alfredem Foulléem, „Esquisse Psychologique des Peuples Européens”.

²⁾ Hegel, „Filozofia prawa”; cytuję z przekładu angielskiego T. Knox, Oxford Univ. Press, 1942, str. 210.

³⁾ Cytowane za książką Rohana Butlera, „The Roots of National Socialism”, Faber and Faber, 1941, str. 159.

⁴⁾ Hitler, „Mein Kampf”, str. 501.

⁵⁾ Pat. 4.6.44 Londyn.

⁶⁾ Por. Zenon Goryński, „Zbrodnie Wojenne”, Jerozolima, 1944.

⁷⁾ H. Heine, „Zur Geschichte der Religion und Philosophie”, „Sämtliche Werke” Leipzig, Bibliographisches Institut, t. IV str. 293, 294, przekład autora artykułu.

⁸⁾ L. Bromfield w zbiorowej pracy „The Ten Commandments”, Simon and Schuster, New York, 1944.

⁹⁾ Hitler, Mein Kampf, str. 570—571.

wola jest niczym nie skrupowana, wyższa ponad wszelkie zobowiązania („Die Absolutheit des Staates an sich“).

W drugiej połowie XIX w. w Bismarckowskich Niemczech idea „siła to prawo“ staje się fundamentalną ideą niemieckiej filozofii prawa. Państwo jest na zewnątrz nieograniczoną przemocą (Lasson „Prinzip und Zukunft des Völkerrechts“, 1871), traktatami związane jest tak długo, jak sobie tego życzy (Seydel, „Grundlage einer allgemeinen Staatslehre“, 1893). „Der Staat, der kann, darf auch“ (Kaufmann, „Das Wesen des Völkerrechts und die clausula rebus sic stantibus“, 1911).“).

Jeden z najświetniejszych niemieckich prawników, Rudolf Jhering, tak formułuje stosunek prawa do siły: „Winniliśmy w szacunku pochylać głowę przed siłą zwycięską, mistycznym wytworem sił i praw moralnych, które rządzą najdzikszyimi przejawami wojny... Siła zwycięży — oto co stanowi i określa prawo“). Tedy więc i Rudolf Jhering pochylał swą dostojną głowę przed siłą zwycięską.

Inni uczeni prawnicy wyjaśnili dość kategorycznie, kto jest uprawniony do monopolu siły. Cytowany już profesor Lasson powiedział krótko: „Jesteśmy wyżsi ponad wszystkich — nie mamy sobie równych“.

* * *

Ludzie pisali książki, książki kształtowały ludzi. Przyszedłoby nowe pokolenia i nowe wojny, aż nadszedł dzień, w którym zaryły się krwią maki na polach Flandrii, a gdy krew jeszcze nie obeschła, dojrzało w Niemczech pokolenie, które na wodza obrało Adolfa Hitlera. Nie chcemy powiedzieć, że żądał niemiecki, Hans Miller, dlatego mordował, grabił i palił, że wiedział, co Hegel pisał o państwie, a Nietzsche o wojnie. Chcemy tylko powiedzieć, że tacy a nie inni mogli być uczeni narodu, którego Hans Miller był żądakiem, tacy mogli być tylko żądacy narodu, którego uczonymi byli Treitschke i Bernhardi, i Alfred Rosenberg.

Piśmiennictwo narodu, tak jak sen człowieka, ujawnia najtajniejsze zamierzenia, na długo zanim docierają one do świadomej woli.

Proces oddziaływania literatury na duszę niemiecką z radością i dumą dostrzegają sami hitlerowscy Niemcy. W r. 1942 uczony niemiecki Ernst Hagemann publikuje historię niemieckiej nauki o wojnie. Z jakąż dumą mówi się o tym, że teoretycy narodowego socjalizmu „schnurgerade“ wywodzą się od Kanta, Fichtego, Kleista, Novalisa, że są spadkobiercami niemieckiej filozofii idealistycznej i niemieckiej poezji romantycznej.“).

* * *

Heine nie tylko przewidział zbrodnię. Opisał jej tło, z cudowną intuicją odczuł jej klimat: kult Wotana i Thora, ponure pieśni Nibelungów, genialnej i barbarzyńskiej muzyki Wagnera, krwiożerczych kamiennych bożków, browninga i splugawionego krzyża, misji dziejowej i bomb kruszących, ognia, bagнету, ziemi i krwi, siły i przekleństwa, niemieckiej mitologii i niemieckiego piwa — magii słów powiedzianych i dźwięku pustych haseł — mistycyzmu w pruskim drylu i na rozkaz feldfebla.

W sto lat po Heinem, znakomity uczony, nie poeta, C. G. Jung, tak opisuje Hitlera: „Jak czarodziej pewnych szczerpów pierwotnych, porusza on i budzi namiętności najbardziej prymitywne. Przywołuje do życia i pobudza „arcytyp“ niemieckiego narodu z dawnych przedchrześcijańskich czasów, z czasów kultu Wotana. Tak budzi on furie teutońską raz jeszcze“).

Czy dalej będziemy wątpić, że Hitler jest z krwi i kości tego narodu?

* * *

Czy twierdzimy, że Niemiec jest z natury swej istotą amoralną? Nie. Twierdzimy, że kodeks moralny Niemca jest odrębny od kodeksu moralnego innych narodów.

Żyli kiedyś poławiacze skalpów, którzy z nabożeństwem i petyzmem wykonywali swe okrutne rytuały w przekonaniu, że to jest właśnie ich misja dziejowa. Działali oni w zgodzie ze swym sumieniem.

Różnią się jedynie oceny zła i dobra — proces etycznego osądu jest niezmienny.

Ponieważ ocena zła i dobra, stosowana przez Niemców, jest śmiertelnie niebezpieczna dla ludzkości, prawo i represja karna muszą nauczyć Niemców innej oceny zła i dobra.

Gdy cel ten zostanie jasno określony, machina prawna będzie działać bez zarzutu.

¹⁰⁾ Por. Aleksander Bramson „Prawa człowieka a Prawo Narodów“, Nowa Polska, Londyn, 1942.

¹¹⁾ Mowa Jheringa w r. 1876 na uroczystościach obchodu urodzin cesarza Wilhelma, Fouillée, I. c., str. 289.

¹²⁾ Lord Vansittart, „Lessons of my life“, Hutchinson and Co., London.

¹³⁾ C. G. Jung, „Wotan“, Neue Schweizer Rundschau, 1936.

Henryk Zylberlast

POEZJA KARPACKA

Zbiór wierszy żołnierzy Brygady Strzelców Karpaccich

Wiersze:

B. Andrzejewskiego, J. Bielatowicza, M. Hemara, A. Jamama, B. Kobrzyńskiego, J. Laśkowskiego, S. Młodocieńca, J. Nałęcza, K. Nałęcza, T. Sowickiego. — Pieśń Brygady.

Cena: 200 milsów

Wydawnictwo „W DRODZIE“, Jerozolima

Sześć miesięcy w Tunisie

Niedziela, 8 listopada.

Ameryka ląduje w Afryce Północnej! Ta nieoczekiwana i zadziwiająca wiadomość obudziła mnie dziś o 7-ej rano i od tej chwili żyjemy wszyscy pod jej wrażeniem. Gdzie dokładnie odbywa się to lądowanie? Podobno w Marokku i w Algierze, ale radio daje mało szczegółów i trzeba czekać, aż sytuacja się wyjaśni. Przypuszczam jednak, że po Marokku i Algierze przyjdzie kolej i na Tunis. Nasz znajomy Anglik, który jako jeniec wojenny spędza w Tunisie urlop zdrowotny, gotuje się już do przywdziania munduru brytyjskiego. Jedliśmy razem obiad w restauracji hotelowej. Dyskusje i zakłady na jeden jedyny temat: kiedy zobaczymy w Tunisie pierwszego Amerykanina czy Anglika. Powściąsane przeświadczenie mówi: za trzy, cztery dni najdalej.

9 listopada.

Radio i gazety podają coraz to nowe wiadomości, dotyczące walk w Casablance i Algierze. Podobno gen. Giraud przemawiał do Francuzów w nocy z 7-go na 8-my, ale radio z Vichy zapewnia, że Giraud jest we Francji. W Tunisie na pozór spokojnie, ale atmosfera w mieście naprężona i nasycona oczekiwaniami.

10 listopada.

Jażdam kolację sama w restauracji po dwugodzinnym czekaniu na mojego męża, który gdzieś znikł zaraz po południu. Wrócił dopiero przed chwilą, podniecony i pod wrażeniem tego, co widział na lotnisku Al Aouina. Podczas gdy w towarzystwie kilku znajomych dziennikarzy i oficerów francuskich przyglądał się lądowaniu pierwszych niemieckich samolotów, nadleciały w bliskawiczym tempie cztery Beaufightery, ostrzelały cały teren i zrzuciły bomby zapalające. W jednej chwili sześć samolotów niemieckich stanęło w ogniu, w tej liczbie jeden ogromny, sześciomotorowy Messerschmidt. Wypiliśmy właśnie zdrowie tych dzielnych Anglików. Ale co znaczy to lądowanie niemieckie? Czyżby Niemcy mieli uprzedzić Amerykanów i zająć Tunis?

12 listopada.

Widziałam dziś na ulicy pierwszego Niemca. Dziwne i niezwykle przykre wrażenie. Przechodząc rue d'Italie, już z daleka spostrzegłam, że jedna strona ulicy wzdłuż budynku Poczty Głównej była zupełnie pusta, podczas gdy na chodniku naprzeciwko tłoczyła się gromada gapiów. Na rogu, pośrodku opustoszałego placu, stał żołnierz niemiecki w hełmie na głowie i uzbrojony od stóp do głów. Widywałam we Francji i w Algierze oficerów niemieckich, członków komisji rozbrojeniowej, ale ten żołnierz w bojowym rynsztunku to zupełnie co innego. To już nie żadne komisje, to okupacja i wojna. Kiedyż ci Amerykanie przybędą? Nasz znajomy Anglik znikł od wczoraj, zostawiając zresztą w hotelu swoje bagaże.

15 listopada.

Pierwsi Niemcy, pierwsze nocne alarmy, pierwsze bomby. Podobno — (zawsze te słowa „podobno“, „mówią że...“, „X mnie zapewnia, że...“ i t. p.) Niemcy lądują masowo drogą morską w okolicach La Goulette pod Tunisem i w Bizercie oraz samolotami transportowymi na Al Aouinie. Wczoraj było ich „podobno“ 500, dziś „mówią“, że jest już ich co najmniej 10.000. Fakt, że widzi się dużo tych znieciercierowanych mundurów i hełmów na ulicy, w restauracjach i barach. Pokazali się też i Włosi, wzbudzając ogólną wesołość i ironię swoimi kapeluszami „à la Napoleon“ i swymi kogucimi piórami.

20 listopada.

Dziś w nocy znowu mieliśmy dwa alarmy. W naszym hotelu nie ma schronu, więc sygnał alarmu (trzy wystrzały z dział przeciwlotniczego i syrena) nie wypędza nas z łóżek, bo i pogo? Ale spać trudno, i mój mąż trochę się boi tego hałasu. Port był już kilkakrotnie bombardowany, kilka bomb spadło też na miasto, ale dosyć daleko od nas. Ogłoszono plakatami stan wyjątkowy. Po godzinie 9-ej wieczór wzbroniony jest wszelki ruch na ulicach i rzeczywiście lepiej się nie pokazywać na mieście, bo „bohaterskie“ włoskie patrole strzelają do przechodniów, często gesto nie pytając się nawet o przepustkę. Ciemno przytem choć owol. Wczoraj, wracając od znajomych o 7-ej wieczór, nabiłam sobie guza na czole, zetknięwszy się gwałtownie z barierą tarasu kawiarni, a chwilę potem upadłam jak długa, przechodząc przez Avenue Jules Ferry, gdzie źle obliczyłam odległość chodnika od klombu z kwiatami. Jedyny oświetlony odcinek, to fasada gmachu t. zw. La Nationale, gdzie zamieszkał Niemcy, którzy jako panowie sytuacji niewiele sobie robią z black-out'u.

25 listopada.

Widziałam dziś auta ciężarowe, przywożące do Tunisu uciekinierów z Bizerty. Podobno miasto jest masowo ewakuowane z powodu nieprzerwanych nalotów brytyjskich i amerykańskich bombowców. W naszym hotelu mieszka już kilka takich rodzin, szkoły i klaszory są również pełne tych biedaków. Pełz już takich „egzodów“ widziałam od r.

8.XI.1942 — 8.V.1943

I

1939! Polska, Francja i obecnie Tunis. Miasto przepełnione, a częste alarmy nie przyczyniają się do ustalenia jakiegoś takiego porządku. Przytem ludność tutejsza, nieprzywykła do wojny i niedyscyplinowana, poddaje się niesłychanie łatwo panice. Podczas alarmów zrazu ludzie nie sobie nie robią z sygnatu syreny, i dopiero gdy pierwsze bomby spadają w pobliżu, zaczyna się popłoch i wybieg do bram i piwnic. Wczoraj w takiej bramie, gdzie schroniłam się bardziej przed odłamkami pocisków przeciwlotniczych, aniżeli przed bombami, byłam świadkiem takiej sceny. Jakaś kobieta, Sycylijka czy Włoszka, lamentuje i płacze, więc pytam się jej o powód tej rozpacz. A ta z wielkim trudem z włoska po francusku opowiada mi, że jak się zaczęła alarm, to ona zostawiła swoje dziecko w wózku gdzieś na innej ulicy i teraz boi się, że się jeszcze dziecku coś stanie, a boi się iść po nie!

1 grudnia.

Coraz więcej odczuwamy wojnę i jej następstwa. Od trzech dni elektrownia wstrzymała dostawę prądu dla miasta, — podobno czeka na transport węgla, bez którego nie może funkcjonować. Alarmy i bombardowania budzą nas co noc ze snu, świec brak, szuka się zapalniczek i zapalniczek, schodzi się w ciemnościach do poczekalni hotelu, przerobionej na gwałt na „schron“, słychać płacz budzonych dzieci, tupot butów na schodach, od czasu do czasu przekleństwo albo śmiech, wszystko to przy akompaniamencie dział przeciwlotniczych i wybuchów bomb. Nie wiem sama, pogo właściwie schodzimy na dół: gdyby bomba spadła na dom, z chwilą gdy brak w nim prawdziwego schronu czy nawet piwnicy, wszystko jedno gdzie się człowiek znajdzie. Ale na dole bliżej do wyjścia, a przytem rażniej wśród ludzi, narażonych na wspólne to samo niebezpieczeństwo. Zawiera się znajomości z nowymi sąsiadami hotelowymi, rozmawia się o tym i owym, rzadko o bombardowaniu, bo lepiej nie wywoływać wilka z lasu, — a na drugi dzień nie poznaje się nowego znajomego, bo inaczej wyglądał w piżamie i szlafroku w migotliwym świetle lampy oliwnej, a inaczej w dzień, w zwykłym ubraniu.

6 grudnia.

Widziałam dziś na ulicy spadochroniarzy niemieckich. Są ubrani w dziwne jakieś kombinizony, obszerne i niezgrabne, zamaskowane nieczem auta wojskowe w plamy żółto-brązozielone. Widzi się zresztą moc wojska na ulicach: na Avenue Jules Ferry i Avenue de Cartage roi się od tych znieciercierowanych mundurów. Coraz częściej też spotyka się żołnierzy ze słynnego „Afrika Korps“, którzy mimo nieustannych „zwycięstw“ w Libii napływają masowo do Tunisu. Włochów też nie brak, ale na tych nie zwraca się nawet uwagi, bo ogół więcej przypomina maruderów i dezertów niż regularną armię. Zabawny szczegół: wioskie auta ciężarowe, zaopatrzone dosyć nowocześnie w łózka polowe, przedstawiają szczyt nieporządku i brudu, zato są dosłownie wytapetowane świętymi obrazami, które często sąsiadują z bardzo świeckimi portretami jakiejś Franceski czy Angeli.

9 grudnia.

Przechodząc dziś przed katedrą, zauważyłam tłum ludzi z głowami zadartymi do góry, ale gotowych w każdej chwili do skoku do bramy albo pod arkady gmachu Nationale. Gdzieś w górze, bardzo, bardzo wysoko samolot angielski czy amerykański zakreślał koła i arabeski. Na tle czystego błękitu nieba wiła się srebrzysta smuga, którą ten niewidzialny samolot zastawiał za sobą. Trwało to dobrą chwilę, jak gdyby lotnik tam w przestworzach zabawił się rysowaniem jemu tylko zrozumiałych znaków kabalistycznych. Potem zabrzmiły trzy tradycyjne wystrzały D.C.A., a raczej F.L.A.K., gołębie, siedzące na dachu katedry, zerwały się w popiochu, ludzie rzucili się do ucieczki, a beztrojski samolot, nie śpiesząc się, poleciał w swoją drogę.

10 grudnia.

Jesteśmy zaproszeni całą rodziną na obiad do Sidi Bou-Said jutro, w niedzielę. Pozwoli to nam choć na kilka godzin wyrwać się z tej przynęcającej atmosfery „zamkniętego miasta, z którego nie ma wyjścia“. Teoretycznie — bo w praktyce ciągle ktoś z Tunisu wychodzi „i więcej nie słychać o nim“. Wyszo już kilku naszych znajomych, dwóch wyjechało trzy tygodnie temu autem, pożyczonym przez mojego męża, i od tej chwili nie mamy żadnej wiadomości, czy udało im się „przejść“. Zna jednego z nich mieszka w tym samym hotelu, co my. Kilka dni temu została wezwana do biura Gestapo, gdzie zapytano ją, gdzie się podział jej mąż. Musiała zagrać rolę zrozpaczonej wdowy i, szlochając, opowiedziała, że wyjechał w sprawach osobistych do Bizerty, gdzie go na pewno zabiła bomba, niszcząc przy tym doszczętnie samochód. Nie wiadomo, czy uwierzyli, ale złożyli jej kondolencje i zapewnili, że dołożą wszelkich starań, żeby zgubę odnaleźć. Mam nadzieję, że zguba już od dawna w Algierze, chyba że...

16 grudnia — Sidi Bou-Said.

Nasz obiad niedzielny przedłużył się w nieoczekiwany sposób i od sześciu dni jesteśmy zablokowani o 25 km od Tunisu, nie mogąc się wydostać z Sidi Bou-Said. Stało się to bardzo prosto i wyłącznie z naszej winy. Bo też kto słyszał w obecnych warunkach wyjeżdżać z miasta na week-end? A więc w niedzielę rano wsiadłam z moim mąym Jackiem do pociągu elektrycznego, jadącego w kierunku Kartaginy i La Marsu. Byliśmy sami, ponieważ mój mąż wyjechał wcześniej, pragnąc po drodze wstąpić w La Goulette do znajomych, którzy do tej pory nie zdecydowali się opuścić tej miejscowości mimo codziennych bombardowań. Nie opuszciliśmy jeszcze granic miasta i przejeżdżaliśmy właśnie obok portu, niemal doszczętnie już zniszczonego, kiedy rozległy się nagle syreny i prawie jednocześnie spadły pierwsze bomby tuż za nami. Maszynista „dodał gazu“ i wyjechaliśmy szczęśliwie z tych „niezdrowych“ okolic. Nie zatrzymując się na żadnej stacji, dobiłszy — nie zwalniając tempa — do przystanku „Aérodrome“, który znajduje się o kilkaset metrów od lotniska Al-Aouime. Nad lotniskiem w tej samej chwili odbywała się ogromna walka powietrzna. W pierwszej chwili nie zdałam sobie sprawy z tego, co się dzieje. Wielkie bombowe latały bardzo nisko nad lotniskiem i trudno mi się było zorientować, które są angielskie, a które niemieckie. Nagle jeden stanął w płomieniach i zwałił się na ziemię. W huk, który towarzyszył walce, połączonej z bombardowaniem, przeważały karabiny maszynowe. Mój mąż bardzo się bał i, jak zwykle przy bombardowaniach, zaczął recytować swój pacierz, „Ojcze nasz“ — czynając, a kończąc na „Aniele Boży, stróżu mój, i Boże, daj zdrowie Mamusi, Tatusiowi...“ Byłam również dosyć przerażona, myśląc o mężu, który miał w La Goulette wsiąść do naszego pociągu. Dojechaliśmy w końcu, nie zatrzymując się nigdzie po drodze, do Marsa i stamtąd udałam się na piechotę do Sidi Bou-Said. Mąż zastałam już u znajomych, gdyż ostatecznie jego wizyta w La Goulette trwała krócej, niż przypuszczaliśmy, i przyjechał bez przystanku poprzednim pociągiem. Spędziłam miło kilka godzin i zabierałam się do powrotu, gdy ktoś nadszedł z wiadomością, że tor kolejki został uszkodzony w kilku miejscach podczas rannego bombardowania i że komunikacja z Tunisem przerwana. Przenocowaliśmy zatem u znajomych, ale w poniedziałek sytuacja nie uległa zmianie i ostatecznie mąż mój zdecydował się we wtorek rano skorzystać z nadarżającej się okazji i sam, gdyż nie było miejsca dla nas trojga, pojechał bryczką jakiegoś Araba do Tunisu, gdzie jego obecność była konieczna. Od czterech dni jestem bez wiadomości od niego. Zato ze wzgórza Sidi Bou-Said, które jest wspaniałym punktem obserwacyjnym, widać jak na dłoni lotnisko i Tunis. Naloty sprzymierzeńców powtarzają się kilka razy na dzień; z okna mieszkania L., u którego mieszkam z moim mąym, widać jak na filmie bomby, spadające na miasto, które prawie bez przerwy zasnuwane jest chmurą dymu. Jeżeli nie dostanę do jutra jakiegokolwiek znaku życia od męża, pójdę do miasta choćby piechotą, bo niepokój jest stokroć gorszy od bezpośredniego niebezpieczeństwa.

17 grudnia.

Piszę, jak to się mówi, „na kolanie“, a właściwie na rogu stolika w przepelnionej kawiarni, gdzie mamy się spotkać z mężem, ażeby razem pójść na piechotę do Sidi-Bou-Said. Dziś rano, nie otrzymawszy żadnej wiadomości od męża, uprosiłam Araba, kierowcę auta ciężarowego, jadącego do Tunisu z jakimiś bagażami, żeby mnie przewiózł ze sobą. Jacka naturalnie nie zabrałam, bo ta podróż wydała mi się zbyt ryzykowna dla dziecka. Obiecałam mu jednak święcie, że wieczorem będę z powrotem, i mąy pożegnał się ze mną dzielnie, choć buzia składała mu się w podkówkę. Jechaliśmy najkrótszą drogą, to jest przecinając wzdłuż lotnisko Al-Aouina. Była godzina 9 rano. Kierowca mnie uprzedził, że, wyjeżdżając tak późno, możemy się znaleźć w samym środku bombardowania, które rzeczywiście często ma miejsce o tej porze. Wjeżdżając więc na lotnisko, dodał gazu, ale mimo dosyć dużej szybkości, miałam możliwość zaobserwowania olbrzymich szkód i zniszczeń, dowodzących skuteczności ostatnich nalotów. Spalone hangary, z których pozostają tylko powyginane szkielety, ogromne leje po bombach, kupy gruzów z budynków dworca lotniczego, a wreszcie dziesiątki samolotów niemieckich spalonych, zdruzgotanych, przegwożdżonych do ziemi — wszystko to stanowiło obraz zniszczenia, przywołujący na myśl jakieś potworne cmentarzysko. Cmentarz maszyn, gdyż cmentarz ludzi, poległych w tej samej klęsce, znajduje się tuż u wejścia na lotnisko, na rozstaju dróg. W chwili gdy przejeżdżaliśmy koło niego, żołnierze niemieccy kopali nowy grób. Było już tych grobów kilkanaście, może kilkadziesiąt. Wszystkie krzyże miały kształt wojskowego krzyża żelaznego, na niektórych był zawieszony hełm.

Przejechałszy całym pędem obok ostatnich ruin lotniska, dobiłszy w końcu do przedmieść Tunisu. Bombardowanie zaczęło się dopiero w godzinę potem.

H. Z. B.

(Ciąg dalszy w jednym z następnych numerów).

„On l'aîmera, quand il ne sera plus, ce pauvre diable vivra stèle que nous calomnions, mais à qui il sera un jour beau coup pardonné”.

Renan

Wiek XIX konał stopniowo, powoli. Dogorywał we wspólnym przesycie swych osiągnięć. Urodzony w kurczach Rewolucji Francuskiej, wychowany we wstrząsach wojen napoleońskich, swoje lata pełnego rozwoju związał z tak wielkim dorobkiem cywilizacyjnym, jakiego nie znała ludzkość wszystkich czasów.

Miliony maszyn parowych oszczędzało wysiłku człowieczych mięśni, tysiące podagów dziennie czołwigo ludzi i towary po długich trasach szyn, łączących poszczególne kraje. Setki okrętów zbliżyły do siebie kontynenty. A oto pojawiają się już na drogach pierwsze samochody i czynione są nawet próby latania w powietrzu.

Każda wiadomość w ciągu niewielu godzin może na drutach telegrafu obejść świat cały. Maszyna rotacyjna dla milionom możliwość czytania słowa pisanego. Luna światła elektrycznych błje nad miastami. Ludzkość wydaje się urzeczywistniać przedśmiertne słowa Goethego: „Więcej światła”.

W pałacach bogatych i domkach ubogich jest więcej światła, więcej wygody, więcej jada. Postęp objął wszystkie dziedziny życia i siega coraz dalej. Nie ma granic dla jego możliwości.

A jednak wiek XIX odchodził z areny dziejów w zmezeniu i niepewności. Pokolenie, które kierowało ostatnimi jego ruchami, przeżarte było chorobą fin de siècle'u. Był to okres nerwowych, przemądrzanych ludzi, którym Darwin wytłumaczył, jak zeszi z drzewa, którym materializm historyczny uproszczył pogląd na dzieje, którzy widzieli wszystko i nie chcieli niczego chcieć.

Myśleli, że rację miał Ben Akiba, mówiąc, że nie nowego pod słońcem. Byli zbyt wykształceni, by wierzyć w cośkolwiek, a między ich ten brak Absolutu.

W sztuce kwitła secesja — ta najpełniejsza różnych zachowań epoka artystycznym. Przebijało z niej jakieś rozpaczliwe dążenie do ucieczki od dawnych kierunków, od uregulowanego szablonu świata mieszczańskiego do brohytu, nadającego koloryt całej epoce. Popularyzacja sztuki stwarzała dla twórców konieczność przebijania się przez mur powszechności, góry kieców. Świadoma, czy nieświadoma parodia czepla się każdego jej przejawu, staje się rodzajem zemsty tłumy za wydaty mu podziw. Przychodzą lata, gdy oleodruk wiszą obok obrazów mistrzów, gdy „La prière d'une vierge” Bondarzewskiej dźwięczy obok melodii Chopina, a potem zresztą, jak mówi Boy: „Milo jest słuchać „Traviatę” w wykonaniu firmy Pathé”.

W Polsce pokolenie całe wyrastało na Płoszyskach, by następnie wyzywać się w melodramatycznej modulacji głosu i fałszywej pozie Miodłej Polski. Pachniało duluszysmą i sztuczną a programową antyduśzysmą. Świat chodził na koturnach u nas, jak i gdzie indziej. Cylinder, ten sam cylinder, którego noszenia na ziemiach Rosji zakazywał przed stu laty Paweł I, jako zbyt rewolucyjnego nakrycia głowy, stał się dostojnym symbolem wszystkich ważniejszych objawów życia. Towarzystw ślubom, chrzcinom i pogrzebom; przyjazdom monarchów, wyścigom, zebraniom giełdy i walkom zapasników w cyrkach. Jeśli ktoś walczył z dosytem mieszczańskim, —nosił fantazyjnie wiązaną kokardę zamiast krawata. A jeśli kto jeszcze do tego sztuką się parał, to musiał błądą brodą lub co najmniej lwia grzywą zaznaczyć się swej indywidualności artystycznej i pogardzie dla otaczającego świata.

Schyłek wieku XIX to okres homo sapiens w sociologii, a homo oeconomicus w naukach gospodarczych. Reakcje jednostek i sposób zachowania się zbiorowości wydawały się możliwe do przewidzenia. Wiadomo było, kiedy kto pracuje, kiedy cierpi na spleen, a kiedy pasie oczy widokiem kankana. Wiadomo było także, że pół procent różnicy dochodu przyciągnie może kapitały europejskie do południowo amerykańskich pożyczek, a każdy wyższy odsetek był poważną zachętą do poszukiwania egzotycznych lokat w plantacjach cukru na Jawie, kopalniach diamentów pod Johannesburgiem czy obligacjach rządgu carskiego.

Życie płynęło tak uregulowanie, że nawet komplikacje polityczne—incydent w Algiercas, Tangerze, mowy Wilhelma II, wojny bałkańskie — tonęły w przegranie, że jednak świat nie się ustroił przed katastrofą wojny powszechnej. Jeszcze w r. 1913 Emil Rathenau twierdził, że wojna nie wybuchnie, gdyż byłoby to zbyt zły interes dla całego świata.

A problemy wewnętrzno polityczne, napięcie społeczne? Socjalizm, ten groźny wróg porządku mieszczańskiego wieku XIX, wydawał się ujarzmiony w chwili, gdy w wyniku sprawy Milleranda socjaliści stawiali się „ministeriable”. Na peryferiach socjalizmu powstawały ruchy kompromisu sumienia społecznego z interesem jednostki. Około 1900 r. pojawia się na arenie politycznej Francji partia radykalno-socjalistyczna, która była radykalną i socjalistyczną tylko w słowach, a która stworzyła całą szkołę myślenia politycznego zarówno w Trzeciej Republice, jak i w innych państwach świata. Co do kierunków skrajnych, to kłóży się tam zbytnio przejmowały anarchizm, nihilizm, komunizm, czy jak się tam ci wszyscy „iści”

*) Fragment większej całości.

nazywali. Gdy już w czasie wojny, w r. 1916 doniesiono austriackiemu ministrowi spraw zagranicznych o możliwości rewolucji w Rosji — obruszył się na to prawdopodobieństwo. „Ktoż miałby tę rewolucję zrobić — brzmiało pytanie cesarskiego dostojnika — przecież nie pan Trocki z Café Central?”. Austriacki minister wiedział, że w wiedeńskiej Café Central siadali niewielki człowieczek, perorujący w gronie nieprzyjaciół carskiej Rosji. Austriacki minister nie wierzył, by ten mały człowieczek mógł się kiedyś znaleźć w pierwszej linii twórców nowego porządku rzeczy na ruinach Imperium, którego władca mówił kiedyś dumnie, że jest szóstą częścią świata.

Rok 1914 słusznie uważany jest za koniec wieku XIX. To wówczas dopiero w koskocie ciągnących na wojnę dział, miarowym rytmie milionów nóg żołnierzy wywołują się wszystkie drzemające siły, przykrzyte konwencją dobrego życia. Wiek XIX narodził się przedwiecznym, w dniu wybuchu Rewolucji r. 1789. Przeżył sam siebie. Trwał pięć ćwierci stulecia. Skończył się w r. 1914. Długi wiek, długi wiek. Kiedyś zapewne będzie się o nim mówić jako o jednym ze złotych stuleci ludzkości.

Wielka Wojna lat 1914—1918 była w poczuciu pokolenia, które ją przeżyło, wydarzeniem, zmieniającym całkowicie porządek świata. Jeśli nawet historia nie ogłosi jej jako początku nowej ery, to w każdym razie uznana będzie za pierwszy okres nowego stulecia.

Fala wydarzeń wojennych zmyla wiele ze — zdawałoby się — trwałych i nienaruszalnych urządzeń wieku XIX. Pokolenie wojenne, które wracało z okopów do domu, niosło w sobie gwałtowną niechęć do dawnego stylu życia. Wątpliwości, niepokoje fin de siècle'u wydawały się śmieszne tym męczyznom w grubych, ordynarnych mundurach i podkutych butach, czy kobietom, które nauczyły się pokazywać uda, szminkować publicznie usta i policzki i żyć zupełnie swobodnie. Gorączka szybkiego wykorzystania życia przesłała im z okresu urlopów z frontu do zwyczajów powojennych. Rytm wydarzeń i nastrojów stał się szybszy.

Ale Wielka Wojna przyniosła nie tylko zewnętrzne przemiany tonu życia. Tak jak Rewolucja Francuska wprowadziła na arenę polityczną stan trzeci — mieszczaństwo, tak Wielka Wojna otworzyła na oścież dostęp do wszystkich urządzeń życia publicznego stanowi czwartemu — proletariatu.

Wszystkie próby proletariatu wybicia się w ciągu wieku XIX do roli pełnoprawnej warstwy społeczeństwa kończyły się po krótkim okresie. Reprezentację woli ludu przemawiały każdorazowo partie polityczne, zorganizowane w prawdziwe syndykaty sumień. Najmilszą próbę sięgnięcia do mas ponad głowami oligarchii partyjnej stanowił bonapartyzm. Absolutyzm Napoleona III, oparty o „wół ludu” („l'élé de sept millions”), załamuje się, grzebiąc system. Jego kłęska staje się przestroga. Parlamentaryzm liberalny wydaje się być najlepszym systemem rządzenia, a zarazem zabezpieczeniem przed władztwem. Gdy wojna rosyjsko-japońska odkrywa słabość państwa carów, czynione są nawet nad Nową próbę przystosowania do polityki monarchii konstytucyjnej, wspartej o parlament, do wierzeń i obyczajów narodu rosyjskiego.

BOHDAN ŁĄCZKOWSKI

Wielka Wojna wprowadziła w ruch masy. Miliony ludzi dostało broń do ręki. Miliony ludzi wracało z okopów w zmezeniu i rozgoryczeniu. W krajach zachodnich łagodniało nastroje świadomości zwycięstwa. Wojna nie naruszyła dobrobytu tych krajów w jakiś szczególnie dotkliwy sposób. Symbol Nieznanego Żołnierza, wyniesiony pod Łuk Tryumfalny, oddawał hołd wysiłkowi mas, system zaopatrzenia inwalidów i zatrudnienia byłych wojskowych roziadowywał punkty zapalne.

W zakresie spraw udziału proletariatu w rządzeniu wszystko wracało do dawnych form. Obeszło się bez marszów rewolucyjnych. W tym samym czasie Europa Środkowa i Wschodnia ogarnięta była silnymi wstrząsami społecznymi. Plomienie rewolucji rozgorzały najpierw na Wschodzie. Próba demokratyczno-liberalnego państwa w Rosji nie udaje się. W chaosie zmagają się różnych kierunków bolszewicy potrafił opanować masy. Rewolucja październikowa wyrwała krótkotrwałą Republikę. „Kierieniszczyna” staje się symbolem nieudanego liberalizmu. W Rosji dochodzi do głosu dyktatura proletariatu.

W innych państwach Europy Środkowej i Wschodniej ogień rewolucji szybko gaśnie. W pasie państw rolniczych między Rosją a Niemcami przeprowadzona zostaje mniej lub więcej radykalna reforma rolna, która kładzie kres patriarchalnemu wpływowi ziemian na kształtowanie życia wsi. W Niemczech po krótkim próbach komunistycznych ustala się system mieszczańsko-socjalistyczny. W wszystkich państwach Europy Wschodniej i Środkowej rozbudowane zostaje ustawodawstwo społeczne, bardziej postępowe niż w starych demokracjach zachodniej Europy.

Zagadnienie udziału proletariatu w życiu politycznym narodu i państwa nie przestaje być ani na chwilę stanowiąc dla Europy najważniejsze problem.

Konieczność panowania nad nastrojami mas stwarza podstawy nowej taktyki postępowania. Potrzebą chwili wydaje się nadanie kierunkowi ruchom tłumów. Masa ludzka w marszu może być kierowana łatwiej, niż ta sama masa, trwająca w anarchicznym bezruchu. Tak jak wszystkie rewolucje wieku XIX wybuchają pod hasłem dania większych swobód ludom, tak rewolucje i przewroty wieku XX mają na celu wzmocnienie władzy. Hasło wolności kłnie się do prób samostanowienia państwa skandynawskie nie zostają objęte falą przemian, niesionych przez nowe wierzenia polityczne.

Państwa liberalne wieku XIX trzymały się w zakresie spraw gospodarczych i politycznych wyznaczonej im w epoce manchesteryzmu roli „stróża nocnego”. Pilnowały,

by rozwój działalności społecznej pozostawał w granicach, zakreślonych przez prawo. Poczucie prawa było bardzo silne nawet w Niemczech cesarskich, przesiekniętych duchem pruskim. Znana jest historia Drzymały, który wobec istnienia przepiśw, zabraniających Polakom budowania domów na ziemiach, przekonał się do kolonizacji niemieckiej, wybudował sobie dom na kółach. Władze potęgowały prawo nie zakazywało tego rodzaju postępowania. W Niemczech hitlerowskich było jak obdz koncentracyjny odczybył Drzymałę od naigrania się z zamierzem rządowych.

Przed wojną roku 1914 jedynie Rosja carska rozporządzała możliwościami karania poza wyrokiem sądowym. Zesłanie „administracyjnym porządkiem” było czymś, poprzedzającym obozy koncentracyjne Europy współczesnej.

Państwo wieku XIX pilnowało wykonania ustaw, lecz nie reprezentowało ideologii. Było rzeczą jego obywateli, jakie wierzenia chcą sobie wybierać. Wszystkie prądy myślowe, które nie godziły w istnienie państwa, nie zagrażały życiu jego obywateli, czy nie obrażały ich moralności — były dopuszczalne.

Państwa dyktatorskie wieku XX są państwami ideologicznymi. Niosą one gotowy pogląd na świat swym mieszkalcom i zwalczały wszystkie odmienne przekonania. Podany jest rytm i kierunek marszu. Nie wolno nikomu iść w kierunku przeciwnym, czy nawet odmiennym.

Na podstawie stosunku do opozycji można określić różne typy państw dyktatorskich. Państwa wyraźnie totalistyczne opozycję zwalczały czynnie, karząc wszelkie próby innego myślenia, niż obowiązujący kierunek

państwa. W ustrojach demokratycznych rzady oparte są o zasadę vox populi — vox Dei. W licznych głosowaniach, przede wszystkim w wyborach do parlamentu, ludność kraju ma możliwość określenia swej woli. Pogląd większości staje się obowiązujący. W państwach totalnych partia rządząca wyprowadza także swą władzę z woli ludu. Ma ona jednak świadomość, iż nie potrafiłaby osiągnąć w każdorazowym głosowaniu pożądaną większość. — Przeciwnie, zdaje sobie sprawę, że jest w mniejszości. To poczucie nakłada na nią obowiązek bezustannej walki. Jest cechą charakterystyczną monopartii w ustrojach totalnych, iż mając w rękę swym cały ster władzy, wszystkie ośrodki dyspozycji, walczą ciągle z jakąś opozycją, po większej części nielubianej, czy sztucznie kreowaną (gdyż prawdziwa opozycja zostaje zniszczona już zaraz po dojściu danego systemu totalistycznego do rządów). Kompleks mniejszości i

WIEK XIX — WIEK XX*)

nie ma monopolu myślenia, jak w państwach totalistycznych, ale korzysta z różnych praw, zapewniających jej pierwsze miejsce na arenie politycznej w danym społeczeństwie.

Oprócz państw totalistycznych i półtotalistycznych pojawiają się w Europie różne formy rządów silnej ręki. Określane są zwykle mianem demokracji autorytatywnej. Państwa, tak rządzone, nie są, w przeciwieństwie do państw totalistycznych czy półtotalistycznych, nosicielami jakichś idei, obowiązujących ich obywateli. Obok kierunku politycznego, reprezentowanego przez rząd, istnieje zorganizowane ośrodki opozycji. Działalność partii opozycyjnych jest prawie wolna. Opozycja może mieć własną sieć partyjną i organy prasowe. Ostra cenzura krępuje swobodę pisania, przepisy polityczne utrudniają urządzenie zebrań publicznych, ordynacje wyborcze zapewniają rządowi przeprowadzenie zdecydowanej większości swych zwolenników do parlamentu — ale wolno myśleć.

Totalizm dochodził do władzy przez krytykę urządzeń i tradycji wieku XIX. Zwyczaj demokratyczne, osiągnięcia liberalizmu były wyszydzone, potępiane, prześladowane.

Ale w walce z XIX wiekiem totalizm nie mógł, czy nie śmiał naruszyć jednej z podstawowych jego zdobyczy: suwerennych praw narodu. Rządy państwami odbywały się tak, jak w państwach demokratycznych, w imię narodu, przez naród, dla narodu. Zbyt głęboko tkwiły w serech i świadomości mas echa stulecia walk o prawa ludów, by nawet ustroje totalne mogły się z nimi nie liczyć.

W ustrojach demokratycznych rzady oparte są o zasadę vox populi — vox Dei. W licznych głosowaniach, przede wszystkim w wyborach do parlamentu, ludność kraju ma możliwość określenia swej woli. Pogląd większości staje się obowiązujący. W państwach totalnych partia rządząca wyprowadza także swą władzę z woli ludu. Ma ona jednak świadomość, iż nie potrafiłaby osiągnąć w każdorazowym głosowaniu pożądaną większość. — Przeciwnie, zdaje sobie sprawę, że jest w mniejszości. To poczucie nakłada na nią obowiązek bezustannej walki. Jest cechą charakterystyczną monopartii w ustrojach totalnych, iż mając w rękę swym cały ster władzy, wszystkie ośrodki dyspozycji, walczą ciągle z jakąś opozycją, po większej części nielubianej, czy sztucznie kreowaną (gdyż prawdziwa opozycja zostaje zniszczona już zaraz po dojściu danego systemu totalistycznego do rządów). Kompleks mniejszości i

kompleks walki wewnętrznej konieczny jest dla utrzymania spójności organizacji partyjnej.

W państwach totalnych rzady odbywały się w imię narodów, lecz z odrzuceniem zasad, że wola większości tego narodu decyduje o kierunku rządów, czy obowiązują do stosowania się do niej.

By zyskać pozór oparcia o masy, totalitarne rzady odwołują się do plebiscytów. Plebiscyty takie, organizowane już po dojściu do władzy, wykazują nieomylnie entuzjazm ludów, że oto rządzone będą silną ręką, a swobody ich zostaną ograniczone. Deklaracja woli ludu, wyrażonej przez plebiscyt, jest rekwiwitem tradycji dziewiętnastowiecznych. Władza wodza w ustroju totalnym jest jednak w gruncie rzeczy czymś, wynikającym samo z siebie. Wódz ma rację nawet wówczas, gdy naród byłby odmiennego zdania.

Temu dla wyrastania postaci wodzów były przemiany, dokonywane już w psychologii mas. W ucieczce od pełnego cnót mieszczańskich świata XIX wieku powstał prawdziwy skłó heroizmu. Popyt na nadludzi zaspokajają częściowo rekordy w dziedzinie sportowej, czy osiągnięcia w zakresie przemysłu. W życiu politycznym widziano jednak również przychylnym okiem jednostki, które zbliżyły się bardziej do „miary Fidiasza, niż do miary krawca”. Pod tym względem wojna lat 1914—1918 przyniosła w szeregu krajów tendencje wyraźnie antydemokratyczne.

Zmianom w psychologii mas sprzyjały wynalazki techniczne. Kino otworzyło nowe horyzonty przed milionami. Zachęcało do szerokiego, ryzykownego życia. Kończył się typ homo oeconomicus, ceniący drobne grosze. Kapitał stawał się czymś bardziej dynamicznym, ułatwiającym wyzycie się.

Radio ułatwilo łączność między rządzącymi a rządzonymi. W każdej chwili miliony mogły słuchać przemówienia szefa rządu, który wpływał na opinię publiczną najzupełniej bezpośrednio, a w razie potrzeby do opinii tej apelował. Każdy akt rządzenia może być w odpowiednim oświetleniu podany do wiadomości „wsiem, wsiem”.

Mowy radiowe, wygłaszane przez wodzów, stwarzały pozory powiązania aparatu rządowego z masami. Parlament i prasa, te nieodwne instytucje państwa liberalnego wieku XIX, schodzą na dalszy plan. Prasa szarże w scholastycznym wysiłku tłumaczenia coraz to innymi słowami, że wódz ma rację. Parlament zamienia się w rodzaj klubu zorganizowanych entuzjastów, oklaskujących wszystkie wystąpienia rządowe.

Większość marszów dyktatorskich dwudziestolecia między dwiema wojnami nie

miała charakteru krwawych rewolucji. Partie totalne dochodziły do władzy drogą różnych kombinacji. Te kombinacje oparte były zwykle o podobny schemat rozumowania: w każdym państwie istnieje niewiele ośrodków dyspozycji. Opanowanie tych ośrodków decyduje o zagarnięciu władzy. Do ich przejścia można dojść przez posiadanie w pobliżu swych ludzi, którzy na dany znak obciążą się równocześnie. Paraliżuje się w ten sposób z góry wszelkie próby przeciwdziałania.

Oprócz czysto technicznej strony władzy istnieje zagadnienie przygotowania do niej. Państwo nowoczesne wymaga coraz lepszej, głębszej zaprawy do rządzenia. W każdym narodzie są stosunkowo nieliczne jednostki, mające dar myślenia politycznego, umiejące pokierować agendami państwa. Usuniecie ich daje dyktatorom możliwość nieskrępowanego działania. Totalizmy (faszyzmy) walczą z nieporządkowaną sobie, wykształconą warstwą społeczeństwa. Tępienie „zgniętej inteligencji” staje się hasłem. Zyskują one wielkie obalenie mitu wyższości intelektualistów. Równocześnie można się pozbyć w ten sposób niebezpiecznych możliwych konkurentów. Im totalizm (faszizm) jest kompletniejszy, tym gwałtowniejsza jest jego demagogia w walce z inteligencją. Żadnych przywilejów dla inteligencji! Przeciwnie. Mogłoby się wydawać, że rządzenie nowoczesnym państwem jest czymś bez porównania łatwiejszym, niż w czasach Wiosny Ludów roku 1848, gdy też nie wszyscy szli prostą z barykad do gabinetów ministerialnych.

Walka z inteligencją została ułatwiona przez kryzys, jaki przeżywała ona w epoce powersalskiej, w spadku po niedomaganich fin de siècle'u. Intellektualiści pierwszych zaraz lat po wojnie 1914—1918 przedstawiali dzwiny obraz wewnętrzного załamania. Są to dziedzice kultu siły, wyzwanego przez Nietzschego, uświadomieni o konsekwencjach walki klas przez Sorela, gotowi do odejścia, do tego wymaga teoria Pareto o krążeniu elit, Tongli oni w rodzaju samopokajania się, którego najpełniejszym obrazem był chyba Spengler, wąpiący, czyja rola w dziejach była ważniejsza: Archimedeas, czy żoldaka, który go zamordował. Inteligencja powersalska wykazuje niezdolność działania wobec żywiołowości wydarzeń, w szczególności w okresie wielkiego kryzysu gospodarczego początku lat trzydziestych.

Na arenę polityczną wychodzą ludzie słabi, rodzaj zawodowych zaklinaczy wędzów, którzy, podobni jakieżtom średniowiecznym, szukać od przypadku do przypadku. Próbujać zrzucić popularność za wszelką cenę, schlebując chwilowym nastrojom tłumów. Fala marszów dyktatorskich zmyna ich z powierzchni ziemi, bez większego zresztą z ich strony oporu.

Inteligencja tej epoki nie potrafiła wytworzyć dostatecznie silnego prądu myślowego, któryby ujął w ramy bieg spraw politycznych i gospodarczych świata. Ograniczy-

ła się do przepowiadania katastrof. Co kilka lat pisarze polityczni ogłaszali koniec cywilizacji, jak chorzy imaginatywy, skłonni guz każdy uważać za raka.

Na tle przemian w psychologii mas uwydatnia się coraz silniej zdumiewające istnienie jednostki narodowej. Naród staje się czymś więcej, niż tylko fatalizmem krwawej wspólnoty językowej, świadomością innteresów przebiegających, czy tożsamością interesów ekonomicznych, czy tożsamością poszczególnych elementów, do powstania poczucia narodowego. Dla istnienia narodu najważniejsze znaczenie ma samo poczucie, niezależnie od tego, jak zostało stworzone. „Naród żyje, reaguje, przechodzi podobne kompleksy. Idee, obiegające świat, przybierają odmienne kształty, przerobione w tygłu myśli i uczuć narodu. Wytwarza się wspólnota obyczajów, właściwych każdemu narodowi. Rozwija się zmysł posiadania narodu, który obejmuje osiągnięcia wszystkich jego członków: zdobycze naukowe, dzieła sztuki, zwycięstwa drużyn footballowych.

Wejście proletariatu na arenę polityczną przyniosło pogłębienie poczucia spraw społecznych, lecz również i pogłębienie poczucia narodowego.

Dyktatorzy w państwach totalistycznych starają się przybrać postać, która odpowiadałaby wyobraźni narodowej. Chcą skanalizować dążenia świadomego swych możliwości proletariatu. Utrzymują społeczeństwo w bezustannym napięciu walki i dla przeciwdziałania wszelkim wątpliwościom osłabiają jego podstawy myślowe.

Marsze dyktatorskie odbywały się szybko. I szybko też wychodzi na jaw ich wewnętrzna pustka, brak twórczości. Nikną ideologiczne przesłanki marszu, zostaje tylko polcja.

Pierwsze lata po wojnie 1914—1918 były okresem gwałtownej reakcji przeciwko wiekowi XIX i jej urządzeniom. Potem, gdy marsze dyktatorów stały się już czymś dokonanym, na krótko przez wojnę 1939 r. odbywa się stopniowy nawrót uciecuwo do poprzedniego stulecia. Okres między dwiema wojnami niszczy wiele ze spadku wieku XIX i tworzy jego legendę. Zaczyna on nabierać wzdzięku zwłędnej przeszłości.

Koło tezy i antytezy znów dokonuje pełnego obrotu. Podobnie w latach trzydziestych ubiegłego stulecia jąga opadała fala niechętnego stosunku do wieku XVIII.

W walce z wiekiem XIX dwudziestolecie międzywojenne zostawilo swoje wyraźne ślady w myśleniu i sztuce. Prąd irracjonalizmu znalazł przewroty w mędrkowaniu i ośmieszył różne gonitwy myśli, uprawiane bez celu i potrzeby. W sztuce powstają nowe założenia stylu masowego. Razi on brzydota, oko, przyzywczaje do wytwornego indywidualizmu. Kiedyś Balzac także bolał nad nudzą i pospolitością stylu mieszczańskiego — różnych Biedermajerów z epoki — w porównaniu z bogactwem Empire'u. Zadaniem sztuki było wówczas przystosowanie się do potrzeb dochodzącego do głosu mieszczaństwa. Dziś sztuka musi znaleźć rozwiązania dla wyrażania mas.

Wojna obecna przyniosła pozorny triumf ideom wieku XIX. Praktyka postępowania odbiega jednak daleko od głoszonych poglądów. Spodziewano się, że nie wszystko, co zostało wprowadzone w okresie międzywojennym, wynikało ze złych obyczajów dyktatorów. Szereg urządzeń był wynikiem struktury nowoczesnego państwa, był funkcją postępu technicznego.

Jeszcze w pełni trwania działań wojennych pojawiają się zagadnienia, które rozwiązywać trzeba na przyszłość. Robotnicy amerykańscy nie chcą być ponownie bezrobotni, gdy zamknięte zostaną warsztaty produkcji wojennej. Robotnicy angielscy pragną mieć swoje ubezpieczenia. Chłop amerykański boi się kryzysu nadprodukcji artykułów rolnych. Robotnik czy chłop kontynentu europejskiego też ma swoje poglądy na wiele spraw, których obecnie nie może wypowiadać.

Rządzenie staje się coraz trudniejsze, coraz wyraźniej wypadki toczą się ponad głowami rządzących.

Powstaje nowy świat. Odbywa się gorączkowe szukanie dróg. Ze starej rupiecarni wychodzą na jaw różni cudotwórcy powersalscy, raz jeszcze próbując opanować żywioły melodykami zaklinaczy. W kieszeniach mają szereg gotowych rozwiązań na wszystkie, co stopy przemieniały, zaczynających się od słów: „...a mówiem...” Wola przy tym nie zajmować się zbytnio zagadnieniem, dlaczego już raz przez nich budowany porządek rzeczy tak łatwo obalony został przez marsze dyktatorskie.

Nowy świat powstaje groźny i trudny do odgadnięcia. Wojna spowodowała wejście państwa coraz głębiej w życie jednostki. Ograniczeniem podlega nie tylko produkcja, lecz i konsumpcja. Regulowany jest poziom dochodów, ruch kapitałów, swoboda poruszania się ludzi. Przymus pracy objął w nieznanych dotąd rozmiarach całe społeczeństwa. Cenzura, obozy koncentracyjne pojawiają się w państwach najbardziej liberalnych.

Myśl ludzka biegnie naprzód i szuka dróg wyjścia: jak w owym wielkim gmachu nowego świata zachować tę trochę swobody, która pokoleniom, mającym już we krwi deklarację Praw Człowieka, pozwoli na znalezienie między nakazami i zakazami jeszcze pewnej urody życia.

4.VII.1943 — 4.VII.1944



Gen. Sikorski wśród żołnierzy

Umiał na terenie życia międzynarodowego należycie użytkować postawę i męstwo swego Narodu i torować drogi ku zapewnieniu Polsce i dalsi i w przyszłości należnego jej w świecie stanowiska. Wśród ciężkich dla Polski zawiłków tej wojny stał się odpowiadającym wielkości chwili i jej wymagań, wodzem wojskowym i wodzem politycznym Narodu Polskiego.

„Rzeczpospolita Polska” z 8 lipca 1943 r.

Droga powrotna

„...Jesteśmy już w drodze powrotnej do Kraju...”
(Gen. Sikorski do żołnierzy polskich w Bejrucie).

Burym zmierzchem widnokrąg się zamglił, oczy twe poszarzały od troski: długa droga z Bejrutu do Anglii, jeszcze dłuższa jest droga do Polski.

Niebezpieczna była twoja jazda, nazybit górny gościniec obrałeś, aż samolot uderzył o gwiadzy, niby okręt o podwodne skały.

Noc opadła nad tobą, jak wiekio i rozwarła się toń srebnolita — a już Londyn był tak niedaleko i Ojczyzna zaczynała świtać.

Co poprzysiągł Ojczyźnie, to strzymał: Nad kipiącą śmiertelnicę otchłanią.

Lecz nie wróci bezmownym popiołem, Które wywiał dwukrotnie z obieży, Górný lot miał, wybujał sokółem, I w promieniu roztopił się sławy.

Rozstrząsały się skrzydła i motor — w chłodnej głębi jakie obco leżęć — więc bez ciebie jutro w kraju wrota wmaszerują stęsknieni żołnierze.

Ciężko paść przed rozgrywką ostatnią, śmierć wrzuciła ci wawryn i order. Jeszcze w uszach żołnierskie wiaty pożegnalnym dźwięczwały akordem.

Zawirował przestwór i zapłonął, wreszcie runął z sykiem w mgłę wilgotną. Wyduziła się hen — w nieskończoność, — Generale, twa droga powrotna.

(„Biuletyn Informacyjny” z dn. 22 czerwca 1943 r.)

Pamięci gen. Władysława Sikorskiego

Co poprzysiągł Ojczyźnie, to strzymał: Nad kipiącą śmiertelnicę otchłanią.

Drogokazem stanęła ta trumna, Od niej jasna ku Polsce lśni droga: — Hej, jedyna żołnierska kolumna! Broń do boju! I zwycięska na wroga!

(„Rzeczpospolita Polska”)

(„Polska Ludowa”)

TADEUSZ ZAJĄCZKOWSKI

POD ZNAKIEM CZERWONEGO KRZYŻA

— Łapiduchy — mówiono o nich dotychczas z pobłażliwym uśmiechem. — Dobry kolega, — powie dziś niejedno, — jemu zawdzięczam życie.

Bo żołnierz służby zdrowia wykazał na polu walki, że jest „dobrym kolegą”, rozumiejącym i sumiennie spełniającym swój obowiązek.

Sanitariusz, noszowy idzie w pierwszej linii natarcia. Przedziera się przez te same krzaki, potyka na tych samych gałęziach, pnie się na strome zbocza. Tylko zamiast karabinu, zamiast granatu w ręce, którym można razić wroga, bronić się i atakować, ma nosze. Tylko zamiast upojenia bitewnego, zamiast podniecenia walki, musi nieść w sobie spokoj-

sto w nocy po ciemku, bez światła, nakłada bandaże uciskowy na tryskające krwią arterie, robi transfuzję...

A potem, gdy tylko transport nie zagraża życiu, na nosze, i dalej, na w.o.p.: wysunięty punkt opatrunkowy.

W.o.p. naszego odcinka mieści się w domu, jakimś cudem ocalałym, wśród starych drzew nad drogą. Stałą jego obsadę stanowią dwaj młodzi podporucznicy lekarze: dr P. i dr F.

w tym czasie dzieje na drodze. Oczywiście, staraliśmy się wypchnąć rannych jak najszybciej do głównego punktu opatrunkowego (g.p.o.).

Transport odbywa się sanitarkami do wozu Inferno, gdzie się znajduje g.p.o. Tam już pracują czołówki chirurgiczne i transfuzyjne, dokonując natychmiast operacji, nieraz ciężkich. I to właśnie przyczyniło się do uratowania życia ciężko zranionych żołnierzy, którzy nie byłoby w stanie wytrzy-

swego personelu? — zadaje drażliwe pytanie.

— Szeregowi pracują z przykładną gorliwością, — mówi pułkownik, — ponad moje oczekiwania. Nie tylko nie trzeba nikogo zachęcać do pracy, ale muszą ludzi zganiać z roboty. To samo siostry. Pracują one na zmianę, po dwanaście godzin. Pracują z wielkim sercem, otaczają rannych nadzwyczajną opieką i troskliwością. Też nie chcą schodzić z pracy — uśmiecha się pułkownik — no, ale ja pilnuję, żeby personel odpoczywał; inaczej bardzo szybko wszyscy byłiby tak przemęczeni, że robota musiałaby kuleć.

— Kiedy był największy napływ rannych?

— 12 i 13 maja było maximum nasilenia. Oczywiście, przy tak dużym napływie mogliś-



Sanitariusze znoszą rannych

na i czujną uwagę na głos, wzywający jego pomocy. Tylko zamiast jednego skoku w przód, musi schodzić w dół i wracać z powrotem nie raz i nie dwa...

Siedząc na zwalonym pniu w zielonym parowie, pytam starszego strzelca, Pawła K., sanitariusza kompanijnego, który od miesiąca nie schodził z linii, a w ostatnich sześciu dniach był cały czas w swoim nacierającym baonie, kiedy miał najtrudniejszą pracę.

— Na tym Angeli — mówi Paweł K., kiwając głową w stronę kamiennego grzebieńca — to był najgorszy dla mnie moment, jak spod pocisków wyciągałem tych rannych. Kiedy to było? No, 17-go popołudniu. Kompania poszła do przeciwnatarcia. Zaczęło się piekło... Artyleria biła, że stanąć nie można było. Odrazu kilku rannych. Jednego wzięłem na plecy, na tornister, bo już nie zdążyłem zdjąć, dwaj szli, trzymając się mnie za pas, a reszta „korowajem” za mną. Idziemy tak po tej skale, a biją wokół siebie raz po razie. I chciałoby się człowiekowi przytknąć za jakiś kamień, ale ni jak... Bo to i tych trzeba przodem odstawić, i drudzy tam już czekają. Wtedy ja ich 23 wyciągnąłem... — mówi, zapalając wolno papierosa — możnaby było więcej, ale teren nadto górzysty.

Ten sanitariusz odnalazł też kpt. Kr., ciężko rannego pod samym szczytem San Angelo.

— Nie można było do niego podejść — opowiada teraz — tak strasznie bili z maszyn. Podczołgałem się, próbowałem wziąć na plecy, ale nie dałem rady, był za ciężki.

Więc zostawił cytrynę (herbaty już nie miał w manierce) i poczołgał się z powrotem na batalionowy punkt opatrunkowy, żeby zawiadomić lekarza.

Tam szła gorączkowa, pośpieszna praca. Znoszono zewsząd rannych. Kilkunastu ich

Ppor. F. to mój stary znajomy. Korzystając więc z tego, że teraz jest tu względny spokój i że rozmowa nie będzie przeszkodą w pracy, zwracam się do niego:

— Jakżeście dawali sobie radę w te gorące dni?

— O, wzięliśmy tempo — mówi doktor — cholerne tempo. No, i wszystko było pierwszorzędnie zorganizowane. W krytycznym momencie podeszliśmy nam pomoc, tak że było nas trzech, potem sześciu. Ale my dwaj — mówię, uśmiechając się do doktora P. — siedzimy tu już przeszło trzy tygodnie. Z początku, cóż, było dość spokojnie: 5—6 rannych dziennie... Tyle tylko, że ostrzeliwali nas od czasu do czasu. Raz zrabali nam sanitarki, banki z benzyną, sprzęt... O, — pokazuje mi pogiętą tablicę, leżącą przed domem — znak orientacyjny nam zbili moździerzem...

Ale tak, na ogół, spokojnie...

Zaczęło się dopiero naprawdę 11-go w nocy. Bez przerwy w ciągu wielu godzin waliły pociski. Koło godziny trzeciej zaczęli napływać pierwsi ranni. Coraz więcej. Wkrótce zabrakło czasu i rąk. A robiliśmy tylko rzeczy najkonieczniejsze: opatrunki, iniekcje przeciwtężcowe i przeciw zgorzeli gazowej, morfina dla szczególnie cierpiących i szokowanych...

Fala rannych płynęła bez przerwy. Przez cały następny dzień, całą następną noc. Nie ma słów uznania dla pracy naszych sanitariuszy, naszych noszowych. Chodzili oni cały czas po tym strasznym terenie, znosząc rannych z linii. Są wśród nich ranni podczas pracy, większość ma pęcherze na rękach i poobcierane do krwi dłonie od dzwigania nosz.

Zmęczeni byliśmy potwornie, bo to i bezsenność, i nawet gorączkowej pracy. Pomimo zimnej nocy koszułe mokre od potu.

Pracowaliśmy jak opętani, prędzej, prę-

mac dalszej drogi.

— Czy bezpieczeństwo pracy na g.p.o. jest większe niż na wysuniętym punkcie?

— Ale skądże — mówi dr F. — przecież Inferno jest cała pod ostrzałem. Właśnie tam były największe straty wśród lekarzy. Niedawno ostrzelali ich Niemcy; zginęli podczas pracy dwaj doktorzy: por. Graber i ppor. Napara, został wtedy zabity także kapelan, ks. Huczyński, i drużynowy noszowych, kapral Giruś. Wielu sanitariuszy i noszowych było ciężiej lub lżej rannych.

Zegnam się z moim rozmówcą, bo dla dopełnienia obrazu pracy naszej służby chcę jeszcze dziś odwiedzić Sanitarny Ośrodek Ewakuacyjny, tak zwany z angielska C.C.S. Dwa takie polskie ośrodki mieszczą się w okolicy Venafro. Do komendanta jednego z nich, ppłk. S., melduję się nad wieczorem.

Pan podpułkownik S. z właściwą poznańskością systematycznością i skrupulatnością zaznajamia mnie z urządzeniami swego C.C.S.

— Ranny dostaje się do ośrodka z pomocy artylerii w ciągu 2—4 godzin, z piechoty trwa to dłużej: od 4 do 12 godzin.

U nas po wyładowaniu z sanitarki natychmiast jest wyniesiony na izbę przyjęć. Tutaj pracuje jeden lekarz, który segreguje rannych na zdolnych do dalszej ewakuacji bez operacji i dodatkowych zabiegów i na tych, którzy potrzebują natychmiastowego zaopatrzenia.

Ci idą na oddział przedoperacyjny, połączony z oddziałem transfuzyjnym. Obsługuje je również jeden lekarz. Ustala on kolejność nagłośności przypadku i przydziela rannego poszczególnemu zespołowi operacyjnemu. W razie potrzeby robi transfuzję krwi.

Są trzy zespoły chirurgów po dwóch lekarzy, czynne całą dobę. Dwa zespoły pracują, trzeci odpoczywa.



...przewożą ich na „lazikach”

my operować tylko nagłe i co cięższe wypadki. Normalnie staramy się zająć chirurgicznie wszystkich.

— A ranni. Jak się zachowują ranni?

— Nadzwyczajnie. Podziwu godna jest ich wyrozumiałość, cierpliwość, opanowanie. Poza tym rzuca się w oczy doskonała fizyczna kondycja. Pomimo malarii, głodu i tych wszystkich przeżyć w Sowietach, fizycznie nasi stoją znacznie wyżej od jeńców niemieckich. Wśród tej masy rannych miałem zaledwie kilkanaście wypadków szoku nerwowego. Co zaś do morale naszego żołnierza, to zawsze była ona dobra, a w ostatnich działaniach taka, że nie można sobie wyobrazić wyższej. Ranni nie chcą jechać do szpitala, chcą wracać na linię. Dziś mi jeden uciekł w piżmie do oddziału.

Tak rozmawiając, wchodzimy do namiotu, gdzie się mieści chirurgia. Pracuje tu w tej chwili kpt. lekarz J. i siostra operacyjna Ewa.

Na stole leży młody, czarniawy chłopiec. Założył ręce pod głowę, patrzy spokojnie, usiłując się uśmiechać, choć widać, że ból mu dokucza.

Pochylona nad nim siostra Ewa przeciąga najbardziej lwowskiem i lwowskim akcentem: — Ta to będzie taka heca, rana szarpawa uda i podudzia, stopa strzaskana.

— Gdzie ranny? — pyta doktor.

Żołnierz odpowiada spokojnie, mówi wyraźnie: likwidował schron na Widmie. Walczyli granatami.

— Rzuciłem granat do schronu, było ich tam siedmiu, wszyscy przyjechali tu ze mną, ale jeden zdążył mnie pod nogi uderzyć.

— Tak — mówi kapitan — widać, jak poszło... Pani Ewo, niech pani patrzy, czy odłamków nie ma... Ona jest pies na odłamki — zwraca się do mnie — bo te odłamki to



...opatrują na linii

leżało na ziemi między głazami. Dwaj lekarze pracują zawiązać, bez słowa, w odległości 5—6 metrów od siebie. Nagle pomiędzy nich pada pocisk. Wytryska w górę sноп ziemi, zmieszany ze strzępami rozszarpanych ciał. Straszliwy krzyk przeszywa powietrze. A lekarze? Cóż, lekarze tylko podważają tempo pracy.

Bo tempo, pośpiech decyduje tu o życiu człowieka. Pochylony nad rannym doktor myśli tylko o jednym: jak najszybciej odesłać go dalej. Ale nieraz przynoszą takiego, któremu życie uchodzi gwałtownie z rozdartych żył. Tylko natychmiastowy zabieg może go uratować. Wtedy lekarz batalionowy na miejscu, pod gradem pocisków, na ziemi, czę-

dziej, prędzej. Każda chwila decydowała o uratowaniu życia ludzkiego. A oni, ranni, byli nadzwyczajni. Do dziś nie mogę zrozumieć, skąd u nich się brała, ta wytrzymałość, twardość, opanowanie... I jeżeli można mówić o jakimś zadowoleniu w tej upiornej nocy, to największym były dla mnie słowa wdzięczności z ust rannych, no i fakt, że na kilkuset, którzy przez nasz punkt przeszli, tylko jeden ze skomplikowanym złamaniem uda zmarł pomimo transfuzji, a w dalszym transporcie nie było ani jednego śmiertelnego wypadku.

— Jak długo trwa taki transport?

— O, to zależy od wielu różnych okoliczności, przede wszystkim od tego, co się

Po operacji chirurg kwalifikuje pacjenta, robi opis, orzeka, czy można rannego transportować dalej, do szpitala, na głębokie tyły.

Niezdolni do ewakuacji idą na oddział pooperacyjny (50 łóżek), gdzie doznają normalnej opieki szpitalnej, przebywając od kilku do kilkunastu dni, zależnie od swego stanu.

Zdolni do transportu idą na oddział ewakuacyjny, skąd po kilku godzinach, odpocząwszy po narkozie i innych zabiegach, jadą dalej.

Z chirurgią połączony jest oddział roentgenologiczny, zaopatrzony w przyrządy do widzenia stereoskopowego dla ustalania odłamków w ciele rannego.

— A jak pan pułkownik ocenia pracę

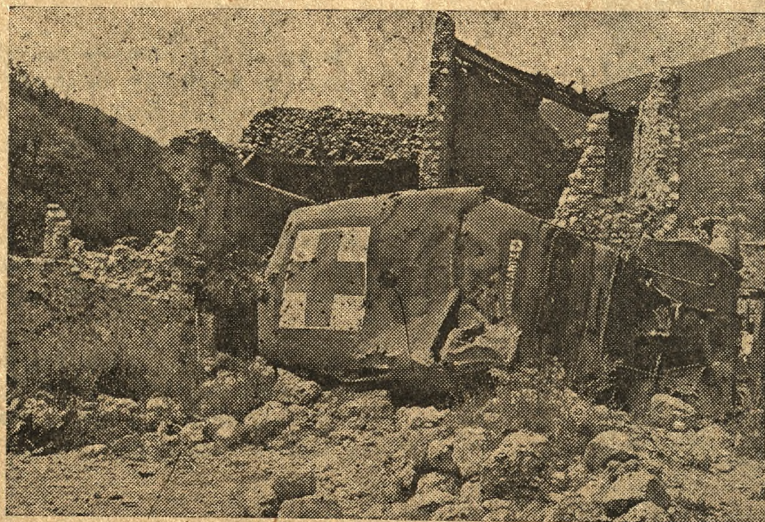
paskudna rzecz... Miałem tu kiedyś wypadek: postrzał głowy, czaszka zarębana, kość wbita w mózg, na niej odłamek szrapnela. Beznadziejna sprawa, bo ten odłamek...

— Dziś mu oddałam — przerywa siostra Ewa — bo już przytomny...

— Tak — mówi doktor — dziś mu zdjąłem szwy.

* * *

Przed izbę chorych zajeżdżają sanitarki. Sanitariusze w mig wynoszą rannych. Od pierwszej linii, gdzie noszowy często na plecach wynosi kolegę spod ognia, podają ich sobie z rąk do rąk aż tu żołnierze służby zdrowia. Pracują gorączkowo, bo od pośpiechu zależy życie rannego.



Sanitarka zniszczona przez samolot npl-a

JAKUB MACKIEWICZ

CZY BĘDZIEMY MOGLI ODCZYTYWAĆ MYŚLI?

Wojna zastąpiła sobą cały szereg wyjątkowo ciekawych zagadnień i dokonanych w trakcie jej trwania odkryć naukowych. Odkrycia te niekiedy stanowią punkty zwrotne w szybkim postępie nauki współczesnej. Każdy przeciętny czytelnik gazet zna nazwiska wodzów naczelnych armii krajów, prowadzących wojnę; zna też setki nazw geograficznych, które niekiedy odnalazł nawet w obszerniejszych atlasach; każdy wie, ile samolotów i tanków produkuje w ciągu jednej minuty USA. Wszystko to jest niezmiernie ważne, lecz należy do rzeczy przemijających. Przejdzie — sub specie aeternitatis — nawet bardzo krótki okres czasu — i wszystko to odejdzie na plan daleki... A tymczasem nauka i jej zdobycze pozostają. Dlatego niektóre zdobycze nauki zasługują na uwagę i teraz, gdy ważą się losy polityczne, a tym samym i kulturalne, całego świata.

W notatce niniejszej zajmiemy się elektro-encefalografią (w skrócie EEG). Mało kto z niespecjalistów jest poinformowany o tym odkryciu. EEG jest to sposób otrzymywania rejestracji prądów czynnościowych ludzkiego mózgu. W zasadzie i metodyce EEG nie wiele różni się od badania i rejestracji prądów czynnościowych innych narządów, jak np. mięśnia sercowego. Zachodzą jednak znaczne różnice pomiędzy niezbyt skomplikowaną pracą mięśnia sercowego, a anatomią i fizjologią mózgu. Metodyka EEG polega na przykładaniu miękkich elektrod do rozmaitych okolic czaszki i połączenia elektrod tych z grupą wyjątkowo czułych amplifikatorów, powiększających minimalne wahania elektryczne o wiele milionów razy, w takim stopniu, że są one uchwytnie dla czułych przyrządów rejestracyjnych. Czynność ośrodków jest wysoce skomplikowana i przez to rejestracja prądów czynnościowych odbywa się jednocześnie z wielu miejsc. Przyrządy rejestrują nie sam powstały prąd, lecz różnicę potencjałów.

Zasługa odkrycia t. zw. „potencjałów mózgowych“ należy do H. Bergera. Było to w r. 1929. Dopiero od r. 1935 datują się pierwsze badania nad EEG o znaczeniu klinicznym. Prace Bergera i jego metodyka mają obecnie znaczenie raczej historyczne, — takie olbrzymie postępy zrobiono w tym kierunku w ciągu ostatnich kilku lat. Na początku 1943 r. w Anglii czynnych było pięć ośrodków specjalnych, które przeprowadzały badania nad EEG; w Ameryce zaś takich ośrodków czynnych jest przeszło sto.

„Rytm alfa“

Berger wykrył rytmiczne oscylacje elektryczne, które nazwał „rytmem alfa“ (10 fal na jedną sekundę). Badania zaś szkoły fizjologów w Cambridge wykazały, że oscylacje o typie „rytmu alfa“ Bergera pochodzą wyłącznie z części potylicznej mózgu. Powstają one w pewnych tylko warunkach, a mianowicie wtedy, gdy człowiek ma oczy przymknięte i gdy jednocześnie czynność psychiczna dokonuje się w stanie s p o k o j u. „Rytm alfa“ znika lub też znacznie się zmniejsza, gdy uwaga badanego jest podniecona jakimkolwiek bodźcem wzrokowym, lub też gdy rozwiązuje on zadania z przymkniętymi oczyma. Tak samo „rytm“ znika natychmiast przy bodźcu niespodziewanym i związanym z uczuciem lęku. Stwierdzono, że „rytm“ występuje symetrycznie z obu półkul mózgowych i że częstotliwość jego u każdego człowieka jest wielkością stałą w ramach wąskiej granicy, chociaż podlega wahaniom indywidualnym. Wpływ na tem „rytm“ leków podniecających lub uspokajających jest minimalny. „Rytm“ znika podczas snu lub też podczas sztucznego uspiania (narkozy).

„Rytm alfa“ daje nam poważne wskazówki co do stanu psychicznego badanego podczas rozwiązywania określonych zadań. Oprócz tego asymetria „rytmu“ wskazuje na nienormalny stan poszczególnych półkuli mózgowej.

Dalsze badania na materiale klinicznym wykazały, że w poważniejszych schorzeniach mózgowych, jak np. w wypadkach guzów mózgu, ropniach, urazach mózgu i t. p. kormórk mózgowych wytwarzają „rytm“ znacznie powolniejszy niż „alfa“. Tego rodzaju powolne fale elektryczne, opisane po raz pierwszy przez Waltera w Londynie, nazywają się „rytmem delta“. Studia elektro-encefalo-graficzne prowadzone są obecnie za pomocą rejestracji i badań porównawczych właśnie nad „rytmem delta“ w najrozmaitszych stanach chorobowych, jak w guzach mózgu, padaczce, w chorobach umysłowych, dziedziczności i t. p.

Dwa przykłady

Przytoczę tylko dwa przykłady, które w dostatecznej mierze zilustrują czytelnikowi, nawet nieobeznanemu z medycyną, jakie olbrzymie znaczenie kliniczne już w dobie obecnej, gdy EEG stawia dopiero pierwsze swe kroki i gdy technika jej jest jeszcze mało udoskonalona, ma ten nowy sposób badania czynności mózgowej.

Kilka słów wstępnych. Wszyscy wiemy, jakie olbrzymie postępy zrobiła w ostatnich 25 latach chirurgia mózgowa, t. zw. neurochirurgia w leczeniu guzów mózgowych.

Jeszcze 30 lat temu neurochirurgia nawet w rękach najbardziej doświadczonych chirurgów przedstawiała się opłakanie. Śmiertelność po operacjach mózgowych była olbrzymia. Obecnie jest już inaczej. Wiadomo jednak, że o dobrym wyniku wszelkiej operacji, a tym bardziej operacji mózgowej, decydują dwa momenty: dokładna lokalizacja guza w określonym miejscu mózgu oraz wczesne rozpoznanie samej choroby. Otóż do niedawna nie zawsze było to możliwe. Są lokalizacje guzów w takich okolicach mózgu, które nazywamy jeszcze ślepyimi, ponieważ funkcją ośrodków, tam położonych, nie jest nam jeszcze znana. Zanim jesteśmy w stanie postawić prawidłowe, — a co najważniejsze — ścisłe co do lokalizacji rozpoznanie, guz może osiągnąć tak duże rozmiary, że przypadek staje się nie do zoperowania. Otóż dziś za pomocą EEG jesteśmy w stanie rozstrzygnąć te dwa zagadnienia kliniczne — stwierdzić obecność guza oraz dokładnie go zlokalizować.

A teraz owe dwa przypadki:

Przypadek I: kobieta, która od dwu lat cierpi na rozstrój umysłowy i lekkie bóle głowy, ma zmiany na dnie oczu. Nie stwierdzono żadnych innych objawów mózgowych, któreby wskazywały na dokładne miejsce schorzenia. Za pomocą EEG udało się zarejestrować z poprzedniego płatu czołowego fale szybkości 5 na jedną sekundę. Dokonana operacja wykazała właśnie w tym miejscu guz, który też został szczęśliwie usunięty.

FAKTY I KOMENTARZE

Międzynarodowa konferencja monetarna

W lipcu zbiera się w Stanach Zjednoczonych międzynarodowa konferencja monetarna, mająca ustalić podstawy wypłat międzynarodowych po wojnie. Substratem konferencji ma być uzgodniony projekt White-Keynes, tak że opinia fachowa i urzędowa krajów mniejszych staje wobec ustalonej już postawy krajów anglosaskich. Kompromisowy projekt wypłat jest w formie amerykański. Zamiast proponowanego pierwotnie przez Keynesa systemu wypłat bezgotówkowych mamy tu fundusz walutowy międzynarodowy, utworzony przez wpłaty krajów, przy czym udział każdego z nich jest wpłacany we własnej walucie. Wpłaty w złocie mają wynosić tylko do 10% ogólnych wpłat, także inne funkcje złota zostały poważnie ograniczone. Fundusz ten, z którego każdemu z krajów udziela się walut, potrzebnych do wypłat, wynosić ma początkowo 8 miliardów dolarów, zaś po wciągnięciu do obrotów światowych krajów osi dojsz ma do 10 miliardów dolarów. Wysokość funduszu początkowego została więc, jak widzimy, poważnie zwiększona w stosunku do pierwotnie proponowanych przez White'a — 2,5 miliarda dolarów. Wielkość funduszu jest tylko pozornie szczegółem technicznym, fundusz za mały od początku może bowiem tak deflacyjnie wpływać na światowe obroty handlowe, że nawet późniejsze jego zwiększenie może nie zapobiec raz wprowiżonemu w ruch mechanizmowi kryzysu w światowej wymianie towarowej. Nowy uzgodniony projekt jest także znacznie mniej sutywny w swych postanowieniach o stabilizacji walut. Dawny projekt amerykański żądał od kraju, którego poziom cen był za wysoki w stosunku do zagranicy, przeprowadzenia kuraacji deflacyjnej dla obniżenia cen, obecnie uzgodniony plan dozwala na dawałując w ustalonych granicach. Zasadniczym novum

Nauka niemiecka o wartości Polaków

W Berlinie założono „Deutsche Gesellschaft für Wehrpolitik und Wehrwissenschaften“ (Niemieckie Towarzystwo Polityki i Wiedzy Wojskowej). Szacowna ta instytucja ma osobny wydział Psychologii Narodów. Wydział ten urządził jesienią 1942 r. cykl poufnych odczytów na temat „Psychologicznych reakcji narodów po poniesionej klęsce“.

13 listopada 1942 r. docent Dr Hipius przedstawił wyniki swych badań nad psychologią narodu polskiego, przeprowadzanych na Uniwersytecie Poznańskim.

Stwierdza on, że „typ charakterystyczny Polaka wyróżnia się dużą żywotnością. Żywotność Polaka nie zawsze była popędliwa, najczęściej okazuje się on na zewnątrz spokojnym i opanowanym. Żywotność jego zachowuje się wtedy biernie, jak piętrząca się za tamą rzeka górską. Kiedy nagromadzona ilość przeżyć przekroczy pewien krytyczny poziom, żywotność — do tej pory bierna — zamienia się na popędliwą. W ciągu niewielu godzin potrafi się Polak wzbijać do stanu najwyższego podniecenia, do najgłębszego przeżycia, które daje mu siłę do zupełnego oddania się sprawie, do poświęcenia się. Powyższe cechy spotyka się u jednej piątej do jednej trzeciej rodowitych Polaków, dalsze 50% jednak posiada zdolność rezonansu z pierwszymi.

Wielce godnym uwagi jest także niezwyk-

Przypadek II: mężczyzna 25-letni od pół roku choruje; cała choroba jego polega na tym, że od czasu do czasu miewa krótkotrwałe napady bardzo dyskretnych zaburzeń mowy, — i nic więcej. Badanie obiektywne układu nerwowego poza tym żadnych odchyleni od normy nie wykazało; natomiast badanie EEG wykazało fale wyjątkowo powolne — trzy na jedną sekundę — z określonego punktu lewej półkuli mózgowej. Wynik badania EEG wskazywał na obecność głęboko siedzącego guza w tej właśnie okolicy. Dokonano operacji i stwierdzono, że był to guz wyjątkowo złośliwy. W zwykłych warunkach, nawet po udanej operacji, chorzy na tego rodzaju guzy wkrótce umierają, lecz w danym wypadku, dzięki wyjątkowo wczesnemu rozpoznaniu i zabiegowi chirurgicznemu oraz leczeniu radem, chory już trzy lata czuje się doskonale.

Nowe perspektywy

Te dwa przykłady w zupełności wystarczają, aby czytelnikowi zilustrować, jakich dobrodziejstw ludzkość może oczekiwać od tego odkrycia. Nie brak też wyjątkowo pouczających przykładów, gdzie na zasadzie badań klinicznych i innych dodatkowych, jak zdjęcia Roentgena, należało przypuszczać obecność guza mózgowego, natomiast EEG nie wykazywała żadnych odchyleni od normy. Dalszy przebieg choroby dowiódł, że momentem decydującym we właściwym rozpoznaniu była właśnie EEG, a nie stare metody badania. Dla

chirurgii mózgowej EEG posiada wprost nieobliczalne znaczenie. Jest to już nie krok, lecz kolosalny skok naprzód!

Zupełnie rewelacyjne wprost dane wykryło EEG w badaniach całego szeregu autorów nad tak rozpowszechnioną chorobą jak padaczka. Dla niespecjalistów faktem bardzo ciekawym jest, że u chorych na padaczkę zmiany EEG stwierdza się w takim samym procencie, jak u ich rodziców, nie cierpiących wcale na tę chorobę. Rzuca to bardzo dużo nowego i nadzwyczaj ciekawego światła na zagadnienia charakteru genetycznego. Przy tym wyjaśniła się jeszcze jedna bardzo ciekawa sprawa, a mianowicie, że cały szereg dzieci o t. zw. „nienormalnym zachowaniu się“ wykazał identyczne zmiany EEG, co chory na padaczkę. Należy więc z tego wywnioskować, że tego rodzaju dzieci są potencjalnymi chorymi na padaczkę.

Niektórzy badacze wysuwają już horoskopy, że EEG będzie miała olbrzymie znaczenie w badaniach przedślubnych, a to celem ustalenia t. zw. „prognozy genetycznej“, co, rzecz prosta, może mieć wielkie znaczenie społeczne.

Jeszcze inne drogi otwiera EEG w tej samej padaczce, a mianowicie — w badaniach nad wpływem leków. Okazało się, że większość poprzednio stosowanych leków nie ma w padaczce żadnego wpływu na EEG; dwa tylko lekarstwa — zupełnie nowe — wykazują wyraźny wpływ na EEG w sensie dodatnim. Stoiemy więc przed możliwością określenia za pomocą EEG skuteczności tych czy innych leków w poszczególnych chorobach mózgowych.

Perspektywy są tak dalece obiecujące, że trudno jest przewidzieć, jak daleko ta nowa droga nas zaprowadzi.

W chorobach psychicznych, niestety, EEG jeszcze niewiele nowego wykazała. Autorzy, którzy pracują nad zagadnieniem EEG w chorobach umysłowych, pokładają duże nadzieje w dwu momentach: w udoskonaleniu technicznym samych przyrządów rejestrujących EEG oraz w dokładniejszych studiach nad stanem normalnej psychiki.

Bardzo poważny autor, który zabrał głos w tej sprawie, pokłada bardzo duże nadzieje w potanieniu w okresie powojennym przyrządów, co umożliwi prace większej ilości badaczy.

Czy będziemy mogli odczytywać myśli?

Domyślam się, że czytelnik zapoznawszy się pobieżnie nawet z zasadami EEG, zada sobie pytanie, czy za pomocą tego nowego sposobu badania uda się także „odczytywanie myśli“?

Otóż na zasadzie tego, co już w chwili obecnej zostało osiągnięte, jesteśmy bliscy rozwiązania zagadnienia, jak człowiek myśli. Przy pewnej zaś fantazji możemy sobie bez trudu wyobrazić udoskonalony aparat, który potrafi rejestrować co człowiek myśli. Gdy Brauer 19 lat temu po raz pierwszy odczytał krzywą rejestracyjną „rytmu alfa“, napewno nie był w stanie przewidzieć tych zdobyczy, które zostały w chwili obecnej osiągnięte za pomocą jego odkrycia. Tak samo jak Roentgenowi nie mogło nawet przyjść do głowy, kiedy po raz pierwszy zobaczył na płycie fotograficznej odbicie przypadkowo podczas doświadczenia z promieniami X położonych kluczy, jakie korzyści będzie codziennie czerpała medycyna praktyczna i teoretyczna oraz nauki techniczne z tego przypadkowego spostrzeżenia.

Gdyby Jules Verne żył dziś

Czy jesteśmy bliscy „odczytywania myśli“? Otóż wyobraźmy sobie, że żyje obecnie Jules Verne i że zwracamy się do niego z pytaniem, co myśli on o dalszych perspektywach rozwoju EEG? Wybraliśmy specjalnie Verne'a, a nie innych utopistów, ponieważ jego „fantastyczne“ utopie posiadają zawsze w swoim założeniu jądro mocnych podstaw naukowych; przewidział on swoją intuicją niejedno odkrycie naukowe, które zostało później zrealizowane.

Otóż Verne prawdopodobnie odpowiedziałby:

— Tak, wynalazek ten bardzo mnie zainteresował. Jeśli już obecnie jesteśmy w stanie rejestrować i wyraźnie odczytać na krzywej czynność ośrodków mózgowych i rozróżniać prawidłowe funkcjonowanie ośrodków tych od nieprawidłowego, to poczyniono wielki postęp. Dalsze udoskonalenie aparatury pójdzie w kierunku reprodukcji e n g r a m a t ó w. Wiemy, że każde wrażenie pozostawia ślad w komórkach mózgowych w postaci „zapisu“ — engramatu. Jesteśmy wszak w stanie reprodukować w sposób dźwiękowy zapis z płyty gramofonowej lub z taśmy radiowej, dlaczego więc nie moglibyśmy reprodukować engramatów z naszych ośrodków mózgowych? Przy pomocy udoskonalonej aparatury będziemy mogli nie tylko rejestrować proces myślowy, lecz także i treść tego procesu myślowego i za pomocą odpowiedniej też aparatury reprodukować ją w sposób dźwiękowy.

Tyle J. Verne. Nauka jednak już niejednokrotnie wyprzedzała „fantazje“ nawet tego największego z fantastów.

POLSKI RUCH MYŚLOWY W TEHERANIE

Minęły w kwietniu dwa lata od chwili, gdy stolica Persji, po przybyciu do niej pierwszych grup uchodźców polskich z północy, stała się największym wolnym skupieniem naszej emigracji powojennej. W dwuletnim tym okresie przesunęła się przez Teheran kilkudziesięciotysięczna masa cywilnej ludności polskiej, z której tylko nieznaczna część, bo około 10%, pozostała tam jeszcze dotychczas, oczekując na dalsze transporty. — Ten tranzytowy charakter Teheranu, zaciążył w sposób decydujący na całym tamtejszym życiu uchodźczym; najsilniej jednak odbił się on na wszelkiego rodzaju pracach kulturalno-oświatowych, które musiały z natury rzeczy nosić na sobie piętno dorywczości.

Cechą znaną teherańskiego ośrodka emigracji polskiej był stosunkowo niski procent inteligencji, zwłaszcza inteligencji twórczej, co wybitnie różniło ten ośrodek od innych skupień wojennego uchodźstwa polskiego. Z nielicznej kadry tej inteligencji część tylko pozostała przez dłuższy czas w Teheranie, reszta w bardzo szybkim tempie rozjechała się, osłabiając w ten sposób i tak wątki możliwości poważniejszego ruchu umysłowego. Drugą przyczyną, która sprawiła, że Teheran nie mógł w zakresie życia umysłowego pościć się proporcjonalnie do swej liczebności dorobkiem, — były trudności komunikacyjno-transportowe, które nie pozwały na utrzymywanie regularnej więzi między tamtejszą Polonią a resztą emigracji polskiej, przebiegającą w ruchliwych i korzystniej położonych ośrodkach. Wydawnictwa polskie, ukazujące się poza Iranem, mogły dociekać do Teheranu tylko nieregularnie, w minimalnej ilości egzemplarzy; znaczna ich część ginęła w drodze. Trudności te wywoływały i wywołują nadal w Teheranie po prostu głód polskiego słowa pisanego. Nadchodzące od czasu do czasu egzemplarze jakiejś książki polskiej, poszczególne numery czasopism — były stale rozchwytywane; nigdy nie wystarczyło ich w tej ilości, by można nimi było obdzielić wszystkich, zlekątnionych czytania. Trzecim momentem utrudniającym były przeszkody techniczne, związane z miejscowymi warunkami wydawniczymi. Brak nowoczesnych urządzeń drukarskich, brak czołówek polskich, czy w ogóle łączników, zupełne nieprzygotowanie miejscowych czerców, trudności w zdobyciu papieru — wszystko to uniemożliwiało jakikolwiek poważniejszą akcję wydawniczą.

W początkowym okresie pobytu uchodźców polskich w Teheranie pracą kulturalno-oświatową zajmowały się wyłącznie organy opieki społecznej. Utworzony w Isonie Delegatury M.P. i O.S. Wydział Kulturalno-Oświatowy i Szkolny, zajął się natychmiast po przybyciu uchodźców do Teheranu organizacją szkół i przedszkoli, świetlic obozowych i komórek oświaty pozaszkolnej, urządzaniem wykładów, pogadanek, kursów i imprez artystycznych. Delegatura rozpoczęła wydawać tygodnik „Polak w Iranie”, który jest obecnie jedynym tamtejszym czasopismem polskim, ukazującym się regularnie.

Z czasem poważną część pracy kulturalno-oświatowej przejęły na siebie zrzeszenia społeczne. Wśród nich, najżywszą działalność rozwinięło Towarzystwo Studiów Irańskich (T.S.Ir.) i dlatego Towarzystwu temu przy omawianiu dorobku polskiego życia umysłowego w Teheranie najwięcej należy poświęcić uwagi. Założone zostało ono w listopadzie 1942 r. z inicjatywy kilku profesorów, wśród których najczynniejszą rolę odegrali profesorowie U.S.B., Stanisław Kościółkowski i Wiktor Sukiennicki. Za cel swój postawiło ono naukowe opracowywanie zagadnień związanych z Iranem, a pośrednio także z całym muzułmańskim Wschodem, dalej — krzewienie wśród Persów wiadomości o Polsce, wreszcie stworzenie na miejscu polskiej placówki badań naukowych dla osób, które pragnęłyby kontynuować przerwaną wojną pracę. Trochę założycieli Towarzystwa było także, by pobył Polaków w Iranie nie minął dla nich bez echa, i stał akcją popularyzowania wiadomości o Iranie wśród mas uchodźczych przy pomocy wykładów, publikacji, wycieczek. Organizacja Towarzystwa oparta została na sekcjach, jako komórkach pracy dla poszczególnych grup. Powstały w ten sposób sekcje: lekarska, prawno-polityczna, ekonomiczna, historyczno-literacka i przyrodnicza. Rozpoczęły one pracę w końcu 1942 r., względnie z początkiem 1943 r. W lokalu Towarzystwa stworzono pracownię naukową, gdzie mieściła się biblioteka, kartoteka, bibliograficzna wydawnictwo, poświęconych Iranowi, względnie krajom Bliskiego i Środkowego Wschodu, czytelnia czasopism, a ostatnio także archiwum fotograficzne, obejmujące fotografie krajoobrazu oraz zabytków perskich.

W ramach Towarzystwa istniały dwie kategorie wykładów. Wykłady, poświęcone wiedzy o Iranie, stanowiły część t. zw. Kursu Iranoznawczego, prowadzonego od listopada 1942 r. do ferii letnich w 1943 r. Wszystkie inne wykłady składały się na cykl powszechnych wykładów uniwersyteckich, kontynuowanych od założenia Towarzystwa aż do czasów ostatnich. Obie kategorie, wygłaszane były regularnie każdego tygodnia, początkowo w ilości 4-ch, a od ferii letnich 1943 r. — 2-ch godzin tygodniowo. Jako słuchaczy gromadziły one poważną ilość inteligencji polskiej, dla której stały się z czasem okazją do regularnych, spędzanych w najbliższej atmosferze spotkań. Wykłady Kursu Iranoznawczego zapoznawali słuchaczy z podstawowymi zagadnieniami z zakresu historii i geografii Iranu, z literaturą perską, z ustrojem konstytucyjnym i systemem administracyjnym, z prawem irańskim i w ogóle muzułmańskim, ze składem ludnościowym i wierzeniami religijnymi Iranu. Powszechne wykłady, uniwersyteckie nie odbiegały od wzorów, stosowanych przy tego rodzaju wykładach w Polsce; obejmowały one wiadomości z zakresu najróżnorodniejszych dziedzin wiedzy, ze szczególnym uwzględnieniem wiadomości o Polsce i o sprawach polskich. Ponieważ większość polskiej ludności uchodźczej mieszkała poza miastem, w obozach, z których dostęp do siedziby Towarzystwa nie zawsze był łatwy, miejscowe organy opieki społecznej umożliwiły prelegentom wyjazd do obozów, gdzie w świetlicach powtarzali oni swoje prelekcje, popularyzując je, stosownie do poziomu intelektualnego danego środowiska.

Jeśli idzie o samodzielne prace naukowe, to większość z nich, z uwagi na dostępność źródeł, poświęcona była zagadnieniom irańskim. Na szczególne podkreślenie zasługują badania, dotyczące poloników w Persji (prof. Kościółkowskiego), historii literatury perskiej (dra Machalskiego), składu ludnościowego Iranu i życia plemion perskich (W. Logi), oraz wierzeń religijnych ludności perskiej (Mgr. Minca).

Ważną dziedziną pracy Towarzystwa było utrzymywanie kontaktu ze światem naukowym irańskim. Poszczególne sekcje Towarzystwa wcześniej porozumiały się z odpowiednimi fakultetami miejscowego Uniwersytetu. Na zaproszenie władz irańskich kilku członków Towarzystwa wygłosiło na Uniwersytecie teherańskim wykłady i na odwrót uczeni perscy wygłosili w Towarzystwie kilkanaście prelekcji. Poza tym urządzano kilkakrotnie spotkania członków Towarzystwa z przedstawicielami nauki perskiej, na których omawiano możliwości zacieśnienia więzi współpracy intelektualnej. W prasie irańskiej, naukowej i codziennej, pojawiło się kilkanaście artykułów i większych prac członków Towarzystwa w języ-

kach francuskim lub perskim. Szczególnie owocną okazała się współpraca polsko-irańska w zakresie nauki prawa. Sekcja prawno-polityczna T.S.Ir. nawiązała ścisły kontakt z miejscowym Wydziałem Prawa i z Ministerstwem Sprawiedliwości w Teheranie, a jej członkowie ogłosili kilka artykułów w wydawnym przez to Ministerstwo czasopiśmie prawniczym.

Wspomnieć też należy o pracach stypendystek, przydzielonych do Towarzystwa przez miejscowe koło Stowarzyszenia Kobiet Polskich z Wyższym Wykształceniem. Stypendystki te zajęły się opracowywaniem szeregu zagadnień z zakresu iranologii, jak np. organizacji wojskowości w Persji za czasów Sassanidów, roli kobiet w utworach Firdusi'ego, niektórych okresów historii teatru perskiego, metodyki nauczania języków obcych w Iranie, redakcji gramatyki perskiej pióra A. Chodźki i t. d.

W połowie ubiegłego roku zorganizowano przy Towarzystwie Koło Miłośników Literatury Pięknej, na którego posiedzeniach odczytywane były oryginalne utwory literackie członków tego Koła, omawiane niektóre zagadnienia z zakresu krytyki

literackiej i odczytywane tłumaczenia klasyków perskich, dokonywane przez członków Koła z oryginałów, względnie z francuskich przekładów.

Dla umożliwienia członkom Towarzystwa zwiedzenia zabytków i zapoznania się z życiem prowincji irańskiej urządzono kilkanaście wycieczek naukowych pod kierunkiem specjalistów z grona uczonych perskich. Do najważniejszych należy zaliczyć wycieczkę na południe Iranu (Kum, Isfahan, Persepolis, Pasargada i Sziraz) oraz krótsze wycieczki do Rey'a i Weraminu.

Ograniczone fundusze Towarzystwa nie pozwoliły mu na zorganizowanie we własnym zakresie działania kursów dokształcających, których brak dawał się początkowo dotkliwie odczuwać. Nie mniej jednak Towarzystwu udało się dostarczyć poszczególnych prelegentów instytucjom cywilnym i wojskowym, organizującym takie kursy. W ten sposób Towarzystwo uczestniczyło w organizacji wyższych kursów nauczycielskich, wojskowych kursów przysposobienia obywatelskiego, kursów handlowych i kursów dla przodowników wiejskich. Z inicjatywy Sekcji prawno-politycznej Delegatura zorganizowała dwa kursy prawno-administracyjne, na których wykładali tylko członkowie Towarzystwa.

Jeśli idzie o dorobek naukowy Towarzystwa za okres półtorarocznej jego działalności, to uwzględniwszy warunki miejscowe, uznać go należy za poważny i zachęcający. Miec bowiem należy na względzie trudności, wywołane dotkliwymi brakami w istniejących na miejscu warsztatach i komórkach naukowych, Biblioteki teherańskiej, młode, bo powstałe w ostatnich dwudziestu kilku latach, posiadają księgozbiory nader szczupłe, a ponadto gromadzone przeważnie przypadkowo i bez planu. Nie posiadają one czasopism naukowych. Katalogi biblioteczne nieskompletowane, względnie wadliwie prowadzone, utrudniają poszukiwania. Ograniczony czas przeznaczony na korzystanie z biblioteki, które nie zezwalały na wypożyczanie książek do domu, utrudnia, a tym, którzy zajęci są pracą zarobkową — w ogóle uniemożliwia korzystanie z księgozbiorów.

Mimo te wszystkie trudności Towarzystwo Studiów Irańskich zdołało w okresie półtorarocznej działalności zebrać około 70 większych i mniejszych prac swoich członków, które w większości swej są przygotowane do druku. Niestety, wspomniane na wstępie trudności wydawnicze spowodowały, że Towarzystwo zdołało dotychczas opublikować tylko znikomą część swego dorobku. Ogłoszony w 1943 r. pierwszy zeszyt wydawnictwa „Studia Irańskie” zawiera trzy artykuły: o geografii Iranu, o jego położeniu ekonomicznym i o jego stanowisku w polityce międzynarodowej. Druk drugiego zeszytu „Studiów Irańskich” jest na ukończeniu. Ma on objąć artykuły znanego uczonego perskiego prof. Said Nafisi, oparte na jego odczytach, na temat historii i literatury perskiej, wygłoszonych w T.S.Ir. [Przygotowany jest również w całości materiał do druku trzeciego zeszytu „Studiów Irańskich”, który ma być poświęcony historii państwa perskiego. Dalszym wydawnictwem Towarzystwa była broszura prof. Kościółkowskiego, ogłoszona w 1943 r. w języku francuskim, p. t. „Iran i Polska na przestrzeni wieków” („L'Iran et la Pologne à travers les âges”) ogłoszeniu tej pracy prof. Kościółkowski nie zamieścił studiów nad stosunkami polsko-irańskimi w przeszłości i zbierał nadal ciekawe materiały źródłowe, z których część posłużyła mu do kilku szkiców, ogłoszonych w „Polaku w Iranie”, reszta zaś ma być ogłoszona w „Kwartalniku Historycznym”. Ostatnią publikacją Towarzystwa była odbita na powielacz broszura dra Józefa Aubera p. t. „Ustawodawstwo polskie na emigracji”, ogłoszona z inicjatywy Sekcji prawno-politycznej T.S.Ir. przez Wydział kulturalno-oświatowy Delegatury.

Z końcem 1943 r. Tow. Stud. Ir. przystąpiło do gromadzenia materiałów do planowanego przez Poselstwo R.P. w Teheranie wydawnictwa o Polsce dla czytelnika perskiego. W lutym b.r. materiały te zostały w całości zebrane i objęły opracowane w formie krótkich monografií artykuły poszczególnych członków Towarzystwa o historii, geografii, ustroju politycznym i administracyjnym, stosunkach gospodarczych życia umysłowym, literaturze i sztuce polskiej. Niestety, trudności wydawnicze i finansowe spowodowały, że sprawa druku tego pożytecznego wydawnictwa utknęła ostatnio na martwym punkcie.

Dorobek Towarzystwa jest tym bardziej godny uznania, że został osiągnięty nie tylko ze przy nader niesprzyjających warunkach pracy, ale i przy minimalnej ilości współpracowników. Towarzystwo przez cały czas miało tylko trzech płatnych funkcjonariuszy. Inni członkowie Towarzystwa mogli pracy naukowej poświęcać się tylko dorywczo.

Perspektywy dalszego rozwoju Towarzystwa w obecnej chwili nie przedstawiają się różowo. Stały odpływ inteligencji polskiej z Teheranu dotknął także i Towarzystwo, a ostatnio pozostawione ono zostało kilku najczynniejszym swoim członkom, którzy musieli z Teheranu wyjechać. Pozbawione swych „zębów trzonowych”, żeby użyć wyrażenia prof. Kościółkowskiego, Towarzystwo traci możliwości dalszej pracy, a tym samym podcięty zostanie w swych podstawach cały polski ruch umysłowy w Teheranie, który w Towarzystwie tym się koncentrował i w pracach jego znajdował swój wyraz. Postulatem wobec wszystkich polskich czynników kompetentnych winno być w tej chwili staranie o utrzymanie w Teheranie tego polskiego ośrodka pracy naukowej.

Poza Towarzystwem Studiów Irańskich opiekę nad polskim ruchem umysłowym roztaczał w Teheranie instytucje urzędowe, jak Delegatura M.P. i O.S., Delegatura W.R. i O.P., a ponadto czynnych było kilka zrzeszeń społecznych, wśród których należy wymienić Stow. Polaków w Iranie „Polonia”. Zrzeszenie Polsko-Brytyjskie. Koło Prawników Polskich, gdzie ostatnio utworzono Sekcję prac naukowych, oraz Związek Polskich Artystów Plastyków. Ta organizacja położyła wielkie zasługi w dziedzinie propagowania polskiej sztuki wśród cudzoziemców, a wytwory pracowni, prowadzonej przez nią w Teheranie, zwłaszcza piękne lalki w polskich strojach narodowych, cieszyły się zawsze ogromnym powodzeniem.

Wiktor Turek

Bibliografia druków polskich w Iranie *

zestawił JAKUB HOFFMAN

43. Turek Wiktor. — Dokumenty niedawnej przeszłości (Materiały, dotyczące historii stosunków polsko-niemieckich i przyczyn wybuchu wojny z 1939 r.). Teheran, 1943 r., kwiecień, Delegatura M.P. i O.S. Wydział Kulturalno-Oświatowy i Szkolny, str. 1 nłb + 12, 35 × 22 cm. Odbito na powielacz.

Jest to omówienie dwu wydawnictw aktów, dotyczących stosunków polsko-niemieckich: 1) wydawnictwa niemieckiego „Polish Documents Relative to the Origin of the War. First Series”. Berlin, 1940, oraz 2) polskiej „Białej Księgi” — „Les relations polono-allemandes et polono-sovietiques au cours de la période 1933—1939. Recueil de documents officiels”. Paryż, 1940.

44. Biuro handlowe „Krakowia” w Teheranie, Teheran, 1943 — 27 × 21,5 cm. Ulotka-zawiadomienie, że przedsiębiorstwo wysłało paczkę dla wysiedleńców polskich w ZSRR.

45. Chłop i Państwo. Jednodniówka z okazji święta Stronnictwa Ludowego. Redagował Komitet S. L. Teheran, lipiec 1943. Str. 18, 32 × 21,5 cm. Druk „Pierdowski”.

Jednodniówka składa się z następujących artykułów: 1) odezwa od Redakcji, 2) apel Ludowców z Kraju do wolnych narodów świata z okazji Święta Ludowego, 3) przemówienie prezesa St. Mikołajczyka do Kraju z okazji Święta Ludowego, 4) referat, wygłoszony w dzień Święta Stronnictwa Ludowego przez Jerzego Górszczyka, 5) Myśl ludowa (urywek z broszury), 6) Treść i forma przyszłej Polski, 6) W. G., Tadeusz Kościuszko, 7) Program Polski Ludowej, 8) Rezolucja w dniu Święta Ludowego, przyjęta przez aklamację.

46. Zaproszenie. (W języku francuskim). Teheran, 7.VII.1943 r. — 9 × 11,5 cm. Poselstwo R.P. w Teheranie zaprasza na Nabożeństwo Żalobne, które odbędzie się 12.VII.1943 r. za duszę śp. gen. Sikorskiego w kościele de la Consolata.

47. Zaproszenie. Teheran, lipiec 1943 r. — 16 × 23,5 cm. Zaproszenie na Żalobną Akademię ku czci śp. gen. Sikorskiego, która odbędzie się w Szkole Polskiej dnia 18.VII.1943 r. (Podpisani Komitet Stronnictwa Ludowego i Komitet Polskiej Partii Socjalistycznej).

48. Do Uchodźstwa Polskiego w Iranie. (Teheran, lipiec 1943), 35,5 × 24,5 cm. Komitety polityczne S. L. i P.P.S. wydały odezwę, zawierającą życiorys śp. gen. Sikorskiego i ocenę znaczenia jego w życiu narodu z okazji Akademii 18. VII. 1943 r. (zob. Nr. 47).

49. Portret śp. gen. Sikorskiego. (Teheran, 1943). Wydany w formie pocztówki przez J. T(urnheima) 20. VII. 1943 r.

50. Polska Jagiellońska — Nr. 2 (Teheran, sierpień 1943) Iran — Irak — Jerozolima — Warszawa. Red. i wyd. Tadeusz Dzieduszycki, str. 94. Treść: 1) Uwaga redakcyjna — Cześć wielkim zasługom gen. Sikorskiego, 2) Adres powitalno-programowy: Sosnkowski i „Złoty Róg”, 3) Roma perfecta: Dzień światła era druga i Tryumf Wawelu, 4) Dux Jagiellonissimus (Maż na miarę najwyższego z wóltów Narodu), 5) Gen. Żeligowski — Polska — Słowiańszczyzna, 6) Zb. Stachowski: Federacja zachodnio-słowiańska, 7) Ch. Kotowicz i U. D.: Kolonia dla Polski, 8) Inż. J. Mariański: Rewindykacja gospodarcze, 9) T. D.: Vivat Polska Pierwotniaków, 10) Ankieta.

Zeszyt ten wycofano z półek księgarskich.

51. Zaproszenie. (Teheran, wrzesień 1943), 11 × 17,5 cm. Komitet P.P.S. w Teheranie zaprasza na Uroczystą Akademię 3.X.1943, dla uczczenia czwartej rocznicy obrony Warszawy.

52. Afisz. (Teheran, wrzesień 1943), 42,5 × 35 cm. Komitet P.P.S. w Teheranie urządza Uroczystą Akademię dla uczczenia czwartej rocznicy obrony Warszawy (zob. Nr. 51).

53. Kościółkowski Stanisław. L'Iran et la Pologne à travers les Siècles. (Teheran, 1943). Ed. de la Société Polonaise des études Iranienues. Str. nłb. 4 + 58.

54. Turek Wiktor. Nauczanie prawa w Polsce. (Teheran, kwiecień 1943). Miesięcznik wyd. przez Irańskie Min. Sprawiedliwości „Madzmue Hoghugh”. Rozprawa o nauczaniu prawa na uniwersytetach polskich, wydrukowana po persku.

55. Turek Wiktor. Kodyfikacja prawa w odrodzonej Polsce. Cz. I. (Teheran, maj 1943). w czasopiśmie perskim „Madzmue Hoghugh” (zob. nr. 54).

57. Turek Wiktor. Kodyfikacja prawa w odrodzonej Polsce. Cz. II. (Teheran, sierpień 1943).

*) Por. Bibliografię druków polskich w Iranie, zamieszczoną w nrze 15 „W Drodze” z dn. 1 listopada ub. r.

w czasopiśmie perskim „Madzmue Hoghugh” (zob. nr. 54 i 55).

57. Katalog wystawy Związku Zawodowego Artystów Plastyków. (Teheran, listopad 1943), str. 43, 18 × 12,5 cm. (drukarni nie podano). Jest to katalog wystawy malarzy polskich, wydany z okazji otwarcia wystawy w dniu 13. XI. 1943 r. Obejmuje 320 prac 26 malarzy. Na treść katalogu złożyły się: odezwa Posła R.P. w Teheranie, Karola Badera „Do naszych przyjaciół irańskich” w językach polskim, angielskim, francuskim i perskim (str. 1—5 i 42—43). Reprodukce niektórych obrazów (str. 7—35) i właściwy spis (str. 36—41).

58. Katalog wystawy Związku Zawodowego Artystów Plastyków. Wydanie II (bez zaznaczenia, że to jest II wydanie) wyszło 18 listopada 1943. W wydaniu tym sprostowano mylnie nazwany w I wydaniu obraz Felsztynskiego Stefana, oraz na końcu podano imienny skład Zarządu Związku Zawodowego Polskich Artystów Plastyków w Teheranie.

59. Mały Modlitewnik (nie podano miejsca wydania ani roku) — (Teheran, listopad 1943). Str. 72, 13,5 × 10,5 cm.

Jest to fotodruk Małego Modlitewnika, wydawanego przez Catholic Truth Society. Londyn 1941. Później tylko można, że to druk irański po napisie na stronie wewnętrznej okładki „Imprimatur Teheran d. 27. m. octobris a MCMXLIII + A. J. Marina Archiep. tit. Heliopolit. Adm. Ap. Archidieocesis Isph. Latim”.

60. Turek Wiktor. Współpraca prawnicza polsko-irańska. Artykuł w czasopiśmie perskim „Kzyhan” („Wszechświat”) Nr. 370 — 19 szara 1322 (11. XII. 1943).

61. Wytzeczne pracy harcercskiej (Teheran, grudzień 1943). Pod redakcją hm. Brzezińskiego Józefa i hm. Szadkowskiego Zygmunta, str. 4 nłb. + 121. 33 × 21,5 cm. Związek Harcerswa Polskiego, Ekipa instruktorska na Iran. Jest to odbitka na cyklostylu. Treść bogata z ilustracjami.

62. Gwiazdka betlejemska. Dziecinom polskim na obczyźnie. Jednodniówka świąteczna, Teheran 1944 (wyszła w grudniu 1943). Str. 16, 22 × 18 cm. Wyd. Duszpasterstwo Katolickiego w Iranie (Druk Parlamentarna).

Treść: 1) Odezwa z życzeniami dla dzieci X. Władysława Ślapy, 2) Józefowa Z.: Do młodzieży, 3) Strzembosz Elżbieta: Wiersz bez tytułu, 4) Podhalanin, Choinka wigilijna, 5) Strzemboszowa Elżbieta: Wspomnienia wigilijne, 6) M. Goldmannowa: Mały sofer (wiersz), 7) Podanie o Szachu Abbasie, 8) m. g.: Biedronka, 9) W. Majewski: Kolporter, 10) Brzeziński Józef: Gawęda harcercska, 11) Stanisław L.: Skąd wzięły się na Wołyniu azale? (sic!), 12) O Kupcu Kadim i Bohlu, 13) M. Goldmannowa: Jedziemy w świat, 14) K. Ilakowicz: Powrót.

63. 25 Grudnia (Teheran, 1943). 17,5 × 11 cm. Wyd. Polskiego Duszpasterstwa Prawosławnego w Teheranie.

Jest to ulotka. Z jednej strony drzeworyt (Piotra Pawluczuka) „Boże Narodzenie”, z drugiej — wyjętek z Tropariona (w języku cerkiewno-słowiańskim).

64. Auber Józef. Ustrój sądów powszechnych w Polsce. Cz. I. W miesięczniku w języku perskim „Madzmue Hoghugh”, listopad 1943.

65. „Polak w Iranie” (zob. nr. 4) nadal wychodził każdej soboty. Ostatni nr. 1943 nosi numer 76 z datą 24 grudnia. Od nr. 74, z 12.XII.1943, drukowany członkami polskimi.

66. „Nasz Przyjaciel” (zob. nr. 13) wychodził nadal. Ostatni nr. z 1943 r. oznaczono nr. 25 (34) z datą Boże Narodzenie 1943. Do ostatniego (25) numeru dodano 2-stronicowy „Dodatek gwiazdki” do młodzieży.

67. Ziarnko Prawosławne (zob. nr. 24) ostatni nr. w 1943 r. wyszedł za październik—listopad. Nr. 10/11.

68. La Nouvelle Europe. Bulletin d'Informations. Teheran 1943. Wyd. Service d'Information Polonais à Teheran. Str. 8, 34,5 × 21,5 cm. Druk Parlamentarna (red. Jerzy Lenczowski).

Jest to biuletyn polityczny, wydawany przez Poselstwo R.P. w Teheranie. W r. 1943 wyszło 11 numerów nieliczbowanych.

69. Polish News Bulletin. Polish Information Service. Teheran 1943. Jest to biuletyn, wydawany miesięcznie przez Poselstwo R.P. w Teheranie (pod red. Jerzego Lenczowskiego) w języku angielskim, objany na cyklostylu. W ciągu roku 1943 wyszło 9 biuletynów.

70. Zaproszenie (Teheran, luty 1943). 23 × 14 cm. Komitet P.P.S. jest to zaproszenie na uroczystą Akademię z okazji 50 rocznicy powstania PPS.

KRONIKA FILMOWA

SZEKSPIR W KINIE

Coraz chętniej czerpie film tematy z powieści i coraz więcej scenariuszy powstaje z adaptacji głośnych książek sezonu. Prawie wszystkie „best-sellery” powieściowe ostatnich lat trafiają na ekran i nawet książki tego typu, co „Mission to Moscow” Daviesa, otrzymują swoją wersję filmową. Równocześnie jednak film, który po udziękowaniu tak bardzo w porach zbliżył się do teatru, wyraźnie stroni od przenoszenia na taśmę filmową sztuk teatralnych, słabo wykorzystując repertuar współczesny i prawie zupełnie nie sięgając do repertuaru klasycznego.

Przyczyna tego stosunku filmu do teatru jest przede wszystkim handlowa. Być może nawet, że między wielkimi agencjami teatralnymi a produkcją filmową istnieje porozumienie o unikanie wzajemnej konkurencji, podobnie jak istniało między prasą a radiem, ale producent liczy się głównie z tym, iż żaden przebieg teatralny nie osiągnie takiego stopnia popularności, jak rozreklamowana książka, i nie dostarczy mu tyle publiczności. Jeśli zainteresuje go temat sztuki, woli mieć podobną, napisaną specjalnie dla swej wytwórni, jeżeli interesuje go autor, potrafi go zawsze zaangażować na stanowisko „stories writer”. W ten sposób już przed wojną trafil do Hollywoodu i Bus-Fekety i Fodor i Jacques Deval. Ten ostatni zresztą jest jednym z dwóch współczesnych autorów, których film uznał za dostatecznie znanych, by sięgnąć po przeróbki ich komedii, Deval Shaw dosięgł tej miary popularności, z tą jednak różnicą, że produkcja Devala jest amerykańska, a zarówno „Pigmalion” jak i „Major Barbara” zostały zrealizowane przez studia angielskie.

Jeżeli na ogół używa się argumentu, iż nadmiar teatralnego dialogu znudzi widza, lub też odwrotnie — że film zgubi subtelność tekstu, to sztuki Shawa są tu wprost przeciwnym przykładem. Ten tak par excellence teatralny autor okazał się równocześnie świetnym autorem filmowym i zwłaszcza „Pigmalion” miał jeden z największych sukcesów w ostatnich latach. Zresztą filmowi dogadzałyby raczej przerabianie sztuk konwersacyjnych, niż wielkich inscenizacji teatralnych. Gdy pominąć teatr sowiecki, często szukający form monumentalnych i operujący masą statystów, komedia współczesna na ogół zadawała się skromniejszą scenografią czterech ścian i kilkomu aktorami. Film może wówczas pobliż teatr doborom doskonałych wykonawców, a technika filmowego montażu będzie jeszcze sprzyjała uwidocznieniu wszelkich finezji aktorskiej gry i podkreśleniu akcentów dialogu.

Nie zapominajmy bowiem, że przeciętny widz teatralny, nie mający przywileju zasiadania w pierwszych dziesięciu rzędach krzesel, ogląda postać aktora w znacznym zmniejszeniu, a gra aktorska dociera do niego już nie poprzez mikrofon, ale tylko przez głośnik.

Film radykalnie zmienia ten stosunek, posługując się zbliżeniem i wyodrębniając co raz to inne grupy osób ze scenicznej całości. Film pokazuje wszechstronnie aktora, cały nacisk kładzie na jego osobowość, natomiast bardzo często trudno mu jest doprowadzić do równoczesnego współgrania aktora i tła. I tu na najskromniejszy nawet student z galerii ma przewagę nad widzem kinowym, iż ogląda ciągle całą scenę, że wszystkim działającymi postaciami, że ogarnia całość akcji w płynnej dramatycznej całości, nie przerywanej cięciami montażu. Im mniej więc osób występuje w sztuce, im bardziej efekt jej opiera się na dowcipie dialogu i parosobowych sytuacjach, tym jest ona łatwiejsza dla filmowej próby. W ten sposób powstaje paradoks, że film unika w stosunku do teatru tej dziedzin, w której może posiadać wielką przewagę: stroni od skomplikowanych inscenizacji, w jakich mógłby pokazać swoje rozległe możliwości fantastycznej scenarii.

Rywalizacja z teatrem jest w ogóle dla filmu niebezpieczna. Już z samej swej natury, przez swe bogactwo środków, zdolność syntetyzowania wrażeń malarskich i muzycznych, przez swą rozpiętość, potoczność, opisowość obrazową, bliższy jest film powieści, niż sceny. A ponadto w stosunku do powieści film spełnia rolę bezkonkurencyjnej realizacji wizji, podczas gdy wobec teatru naraża się na sytuację, w której teatralne zaspokojenie wyobraźni widza może być trafniejsze i pełniejsze.

Może właśnie dlatego, dla tych licznych przyczyn artystycznych i handlowych, zaniebawiano tak znakomitemi scenariuszami, jak romantyczne dramaty Wiktora Hugo, jak historyczne tragedie Schillera, wspaniałe „thriller-sy” Szekspira. Czyż „Makbet”, „Ottello”, „Kupiec wenecki” nie są świetnymi filmami — jeżeli sięgnąć tylko po kilka pierwszych z brzegu przykładów?

Wobec Szekspira film trzykrotnie pokusił się o próbę zdystansowania teatru, lub przynajmniej jego spopularyzowania. Nakręcono „Poskromienie złośnicy”, „Romeo i Julia” oraz „Sen nocy letniej”. Kto wie, czy dzięki temu nie ujrzało szekspirowskich arcydzieł wielu ludzi z małego miasteczka, którzy nigdy nie dotarli do stolic, posiadających teatry, poświęcone klasycznemu repertuariowi. Problem popularyzacji arcydzieł teatralnych poprzez film jest ważny dla społecznej strony zagadnień kulturalnych; być może, że jest to właściwa droga i że film potrafiłby tu spełnić tę rolę, jaką radio z powodzeniem spełniło wobec kultury muzycznej, mimo że tak straszono z początku, że głośniki radio odciągają publiczność z sal koncertowych. Stało się przeciwnie.

Rzecz tylko w tym, o ile Szekspir „filmowy” odpowiada teatralnemu. „Poskromienie złośnicy” zachowało na ogół teatralny dialog, dając widowski światyśnów aktorów i wielką żywość. „Romeo i Julia” w filmowej wersji, w wykonaniu Leslie Howarda i Normy Shaerer, wydaje mi się — nie urobiło nic z piękności słowa, natomiast dzięki dobru dobrotliwego tła architektonicznego umieściło dramat kochanków w określonej epoce, dało mu realizm i historyczność. Spór Kapuletów i Montekkich wystąpił o wiele silniej dzięki scenom zbiorowym, na jakie nie stać teatru. Całość była przez to niewątpliwie inna, trudno jednak powiedzieć, by nie posiadała stylowości, poezji i uroku. Wiersz brzmiał nieskazitelnie.

Il tu jednak zadanie było po części ułatwione, dzięki skupieniu uwagi widza na dwóch czo-

lowych postaciach, dzięki jedności akcji, której film wymaga w stopniu silniejszym od teatru. Pełnym problemem stało się dopiero inscenizacja „Snu nocy letniej”, gdzie paroplanowa akcja, liczność głównych ról, fantastyczne tło dawało filmowi pole do popisu, gromadząc jednocześnie wszystkie trudności.

Reżyserię powierzono Reinhardtowi. Można by powiedzieć, iż z teatralnych reżyserów był on najmniej teatralnym, najbardziej zazdrościł filmowi inscenizacyjnej swobody i dekoracyjnego przepychu. Ten wybór zawierał w sobie z góry niebezpieczeństwo, że Reinhardt będzie polował na filmowe efekty, mimo że producent przeznaczał mu raczej rolę pokierowania aktorami. Dla strony czysto filmowej dodano bowiem W. Dietlerle, specjalistę od scen zbiorowych i wielkiej produkcji. Z tej niezupełnie właściwie ułożonej współpracy reżysera teatralnego i filmowego wynikł raczej filmowy, niż teatralny sposób gry aktorów, przechylających się ku grotesce. Groteska dała doskonale sceny w fragmentach, związanych z komicznymi przygodami amatorów, przygotowywanych tragedii o Tybsie na weselisko króla Aten, natomiast przekreśliła liryzm scen miłosnych. Obie pary kochanków: Lyzander — Hermia, Demetrius — Helena, były raczej zabawne, niż liryczne. Trudno było wobec ich sprzeczek odnieść wrażenie, jakie w teatrze wywiera kapryśność i fatalność miłosnego losu. „Sen nocy letniej” jest właściwie poematem o siłach przyrody, o tajemniczych instynktach, rządzących człowiekiem, a przede wszystkim o instynkcie miłowania. Czarodziejski kwiat, syjący swój puch na oczy Lizandra i Heleny, psoty Puka, płaczącego ludzkie dzieje, są symbolem sił, tkwiących w przyrodzie, w nas samych, a budzących się do życia najsilniej zgodnie z rytmem wiosny i lata. Ta poezja „Snu nocy letniej” skryła się pomiędzy śmieszności Lyzandra, Demetriusa, pomiędzy dziwowską leśnego świata, który Reinhardt przy pomocy Niżyńskiej (układ teneczny) odtworzył w całej wspaniałości.

Przy poszczególnych postaciach komedii można obserwować rezultaty, osiągnięte przez filmowe zbliżenia. Nie mógł więc teatr mieć tak komicznej Tybsy, jak Joe Brown (znany komik amerykański), którego płaska, obojętna twarz zabawnie kontrastowała z narzuconą mu rolą; również stracona mimicznie dla teatru była przemiana Spodka w potwora z ośią głową, podobnie jak i kapitalny moment powrotu do ludzkiej postaci (świetny James Cagney). Najbardziej jednak zyskał w filmie Puk. Był nim Mickey Rooney, jeszcze z czasów swych nawpół dziecińczych lat, i można śmiało powiedzieć, iż takiego Puka teatr nie miał i mieć nie będzie. W teatrze złośliwy, leśny duśzek pozostaje kosmatym stworzeniem, skaczącym niezdarnie po scenie — tu nabiera pełni życia, staje się zamilowanym w przewrotności rządzącego losu, nieodłącznym, diabelskim cieniem człowieka. Te bezpośrednie wrażenia uda się osiągnąć tylko w filmie.

Świat fantastyczny był w obrazie filmowym bardziej prawdziwy, bardziej realistyczny, niż w teatrze, mimo iż tanecznie Niżyńskiej stawały się podobne do mgieł, zamieniały się w drzewa i kwiaty. Niebezpieczne zbliżenie raz po raz demaskowało szminkę, a obiektyw ujawniał dyskretnie majętkę, jakie musiała włożyć Titania kwoli opinii kwakrów.

Montaż tnie całość filmowego obrazu na fragmenty, wprowadza ich żywość i zmienność, daje ruch niespotykany w teatrze, ale tym samym rozbił syntezę teatralną dekoracji, światła i gry. Gdy oglądamy na scenie „Sen nocy letniej”, świat uspiętego lasu ani na chwilę nie znika nam z oczu — na ekranie raz po raz ustępuje on miejsc postaciom, wysuwającym w zbliżeniu na pierwszy plan. Gubi się poczucie przestrzeni i głębi obrazu.

Ten brak plastycznej perspektywy jest zresztą zasadniczym brakiem czarno-białego filmu. Mimo więc pięknego pochodzącego z orszaku Oberona, mimo świetnych w swej czarno-białej grafice momentów przesilenia dnia i nocy, szekspirowska feeria nie mogła rozbić na ekranie wszystkimi blaskami, będąc pozbawiona kolorów i gry światła. Z teatrem, który nie ogranicza się tylko do aktora, lecz współgra dekoracją, kostiumem, kolorem i światłem, będzie się mógł zmierzyć film barwny. Barwa jest bowiem jednym z istotnych czynników w każdej wielkiej inscenizacji: wystarczy przypomnieć z widowisk warszawskich czarno-białą inscenizację „Kupca weneckiego” (Ordyński), zielono-srebrną „Snu nocy letniej” (Schiller) lub rokokowo-białą „Wesela Figara” (Węgierko).

Czy więc ostatecznie ujemnie wypadnie ocena próby Reinhardta? Wydanie takiego wyroku byłoby krzywdzące dla wspaniałych momentów baletowych, zapoznawałoby rozmarzenie i zachwyt, z jakim publiczność opuszcza kinową salę. Tym niemniej dziś, po kilka latach (film nie jest nowy), możemy stwierdzić, iż ta wersja nie dała jeszcze wszystkiego, na co stał film współczesny, nie dopisując zwłaszcza aktorsko.

Kiedyś będziemy mieć „barwnego Szekspira” w kinie. Puryści podniosą wówczas sprawę tekstu. Oczywiście, że wszelka dyskusja da się z góry w ten sposób przeciąć, lecz trzeba uwzględnić, że Szekspir filmowy nie będzie nigdy Szekspirem teatralnym; nie będzie kopią, będzie czymś innym i nowym. Byłby nowością artystyczną. Tekst — przez Reinhardta skracany niezręcznie — zawsze ulegnie skrótom, z drugiej jednak strony poezja szekspirowska zostanie wzbogacona przez tę syntetyczność działania estetycznego, ku której zmierza film, łącząc w sobie słowo teatru, barwę i żywość malarstwa, liryzm i sugestywność.

(W szekspirowskim „The Globe Theater” sprawienie nowego płótna dekoracyjnego było wielkim wydarzeniem — wiele partii „Snu nocy letniej” czy „Romeo i Julia” poświęconych jest opisom, mającym zrównoważyć, zastąpić brak dekoracji. Są one nierzadko zbyt techniczne w nowoczesnym teatrze, tym bardziej muszą odpaść w filmie, tylko, że często w nich właśnie najpiękniej gra szekspirowski wiersz. To też Szekspira chyba najlepiej czytać.

Jan Martyka

OPINIE ANGLIJSKIE

Radio angielskie

B. B. C. (British Broadcasting Corporation), jeśli wierzyć wszystkim jego angielskim krytykom — jest nudne, biurokratyczne, reakcyjne (dla lewicy) i lewicowe (dla torysów). Jednak porównanie z przedwojennym radiem polskim, niemieckim, austriackim czy każdym innym (z wyjątkiem amerykańskiego, którego nie znam) zadziwia bogactwem tematów, elastycznością inwencji i śmiałością polityczną. Krytycy brytyjscy przymierzają swą krytykę do idealnych koncepcji. My — ludzie z kontynentu — porównujemy z przedwojenną rzeczywistością naszych krajów. Stąd różnica osądu.

Polskie radio było w porównaniu z B. B. C. ubogie finansowo. Dlatego patrzymy z podziwem — jak wół na malowane wrota — na tę przedziwną rozrzutność, która zezwala na dwa, trzy i więcej rozmaitych programów rewijowych w tygodniu, podczas gdy np. nasza „Lwowska Fala” była unikatem, stojącym sztywno pracą i talentem jednostek. Artystów kabaretowych było i u nas sporo, a polskie rewie były na wyższym poziomie niż angielskie, ale gdzieś nas było stać na luksus paru programów w tygodniu. Natomiast w Anglii od doskonałej „Monday night at eight” aż po bardzo tuzinkowe jest tych rewii na wszystkie gusta i poziomy.

To samo bogactwo programów spotykamy w muzyce, w teatrze radiowym (co najmniej dwa programy dramatyczne w tygodniu) i w programach dla dzieci i młodzieży, tak ładnych i interesujących, że często słucham ich równie chętnie, jak mój syn.

Odczyty radiowe i pogadanki świadczą o innego rodzaju bogactwie. O bogactwie kultury i inteligencji. Ich główną charakterystyką jest zwięzłość i treściwość. Bardzo często są one w formie dyskusji, których modę zapoczątkował omawiany niedawno na tym miejscu Brains Trust.

(A propos. Ukazała się książka Howard Thomasa p.t. „Britain's Brains Trust” (Chapman & Hall, 1944 str. 212, sh. 15). Howard Thomas był „wynałazcą” Brains Trustu i aż do niedawna jego organizatorem. Książka opisuje dzieje Brains Trustu, charakterystykę jego członków i analizę pytań i odpowiedzi. Jest to ciekawa lektura dla każdego, kto interesuje się Anglią i radiem).

Jeśli dodamy do tego, że do mikrofonu dopuszczają się ludzie wszelkich kolorów politycznych i że omawia się wiele kwestii drażliwych i spornych, to obraz B.B.C. jaki się rysuje w oczach kontynentalnego emigranta, nie jest najgorszy. Mimo to Anglię wygadują na swoje radio. Nie jest to zresztą rzeczą dziwną w kraju, w którym krytyka nie uchodzi za coś zdrożnego, lecz jest synonimem praw i swobód obywatelskich. Wygadują na B.B.C., bo chcieliby je uniezależnić od wpływów rządu, wprowadzić do radia na większą skalę politykę i kontrowersję, słowem ożywić B.B.C.

Jest wiele książek o radiu angielskim, ale czytelnika polskiego na Wschodzie, który nie czytuje regularnie prasy angielskiej — tego wyczerpującego źródła informacji o wszystkich sprawach aktualnych — najbardziej zainteresuje książka p. Eekersleya, pierwszego naczelnego inżyniera B.B.C., p.t. „The Power behind the Microphone”. Książka pełna ciekawostek, plotek i temperamentu, a więc tego, co my w Anglii znajdujemy w prasie. Nie jest to książka obiektywna, ale właśnie ta jej nieobiektywność sprawia, że jest ciekawa i że pobudza zainteresowanie. Daje ona żywo napisaną historię B.B.C. i wszystkich kontrowersji, jakie się wokół tej instytucji toczyły. Daje krytykę działalności, polityki i programów. Czy telnik, zainteresowany tematem, nie powinien jednak na tej książce poprzestać. Jest ona, jak zaznaczylem, zbyt subiektywna, aby można było wyrobić sobie na jej podstawie sąd o B.B.C., ale warto zacząć studium radia brytyjskiego właśnie od tej książki.

Ilustracją powyższej charakterystyki brytyjskiego radia jest następujący wyjątek z rubryki „Radio” niedzielnego pisma „Observer”. Tom Harrison pisze w niej o radiu amerykańskim:

„Wielką uwagę zwraca się po drugiej stronie Atlantyku na wychowanie dorosłych. Pionierem było znowu Chicago, że swa serią audycji uniwersyteckich p.t. „The Human Adventure”. Były to programy dokumentarne o sprawach naukowych i społecznych, jak małżeństwo, język, penicylina. Programy cieszyły się dużym wzięciem. Amerykańska sieć NBC ma program p.t. „Miedzyamerykański Uniwersytet Powietrza”, który dostarcza tematów dla szkół i uniwersytetów. Równie ciekawy, a bardziej dynamiczny jest program innej sieci p.t. „America's Town Meeting of the Air”, w którym paru ekspertów dyskutuje bez cenzury i bez skryptów na dany temat i w których publiczność ma możność brania udziału w dyskusji. Parę tygodni temu wybitni działacze repolscy i prorosyjscy debatowali na temat: „Na jakiej podstawie Polska i Rosja mogą się pogodzić”. Polskiego punktu widzenia bronił prof. Oskar Halecki. Dyskusja była ładowana dynamitem, a interwencja publiczności była równie gwałtowna. Wyplęły i omawiano najbardziej drażliwe polsko-rosyjskie żale i uprzedzenia. Cała impreza była tak zaplanowana i prowadzona, że wynik był konstruktywny, choć bez konkluzji. Miliony ludzi słyszały po raz pierwszy wszystkie pro i contra sprawy, która jest dzisiaj ośrodkiem powszechnego zainteresowania i wokół której toczą się nierzeczowe dyskusje. Ktokolwiek słyszał ten program (wydany potem w osobnej broszurze), musi stwierdzić z żalem, że to, co uważa się w Anglii za dyskusję demokratyczną, jest bardzo płytkie.

Aby zwycięstwo nie poszło na marne

Spustoszenia, jakich dokonała wojna, nie są tylko materialne. Gdy słucham pięknych utworów, perorujących zawzięcie o wiecznych wartościach architravu rzymskiego budynku, o tym, czy warto niszczyć dzieła sztuki, aby uratować życia ludzi, o tym, czy klasztor w Cassino jest więcej wart niż niewykultury jeszcze geniusz młodzieńca, walczącego w pierwszej linii, to — choć unoszę się gniewem na tych wszystkich, którzy z bezpieczeństwa schronu swej „tour d'ivoire” lekceważą sobie życie ludzkie, którego odrobinę nie można, a wynoszą nad miarę twory rak ludzkich — przecież nie umiem sam jasno wypowiedzieć się za albo przeciw.

Bo tu nie chodzi tylko o martwe dzieła sztuki. Chodzi także o kulturę, niszczoną i deprawowaną

dzień w dzień w sercach i w umysłach ludzi, a zwłaszcza młodzieży Europy. Z czym przyjdzie do niej, gdy ostatnia bomba powali na kolana hitlerowski barbarzyńca?

Bomby, lecące na Europę, bomby, które torują drogę inwazji, niszczą nie tylko książki, ocalałe nieraz kosztem bohaterstwa ofiarności przed wandalizmem goebbelsowskich stosów, ale zabijają także ludzi, którzy mogliby je zrekonstruować, którzy mogliby nauczyć nas wiele i opowiedzieć nam jeszcze więcej. Bomby, niszczące niemiecki przemysł w Europie, dezorganizują także te resztki szkolnictwa i wychowania, które zostały się jawnie lub w „podziemiach”. Chaos i anarchia nie sprzyjają kulturze, wzmagają się z dnia na dzień i gdy ostatnie strzały zamilkną, chaos i anarchia wciąż jeszcze pozostaną na pobojowisku.

Czy można tego uniknąć? Niestety, wydaje mi się, że nie. „Wiemy, gdzie się wojna zaczyna, nie wiemy, gdzie się kończy” — powiedział Chamberlain, i ta prawda pozostała prawdą, mimo beznadziejnej głupoty appeaserstwa. Nie można tego uniknąć, ale można już dzisiaj myśleć o odbudowie. Odbudowie moralnej, tak jak myślimy w UNRRA o odbudowie materialnej. Ta myśl przyswiecała amerykańskiemu senatorowi J. William Fulbrightowi, gdy rzucił myśl organizacji dla odbudowy wychowawczej i kulturalnej.

Senator Fulbright był nie dawno w Anglii, gdzie imieniem rządu amerykańskiego i w porozumieniu z innymi rządami sprzymierzonymi starał się swą organizację zmontować. Wygłosił wówczas przemówienie radiowe, charakterystyczne swym akcentem politycznym. Słowo „odbudowa” w nazwie organizacji senatora Fulbrighta sugeruje powrót do stanu quo ante. Ale czy ten stan quo ante — raj utracony wszystkich sytych całego świata (aby nie użyć wytartego słowa: re-akcja) — wart jest odbudowy?

„Musimy stworzyć coś nowego” — powiedział senator Fulbright. — „Bez względu na to, jak bardzo kochaliśmy stary świat przedwojenny, sam fakt, że musieliśmy walczyć w tej wojnie, jest dowodem, że coś zasadniczo błędnego było w tym świecie. Nazwijcie to, jak chcecie, — faszyzmem, dekadencją demokracji, czy ogólną ignorancją — fakt pozostanie faktem, że ten świat był zły, bo inaczej nie ginęliby najlepsi z naszych chłopców i nie niszczyliby tych zasobów, które powinny służyć dla dobra ludzkości”.

Na marginesie: nie wiem, jaka jest hierarchia wartości polskich poczyni na emigracji. Można i wszechwładni matadorzy naszego politycznego życia wyliczać może sto spraw ważniejszych, donioślejszych, bardziej poważnych, ale moim skromnym zdaniem jedno z pierwszych miejsc należy się cichej, niewidocznej, pomiatanej (niewiedomo dlaczego!) i zaniebawianej pracy bibliotekarzy i bibliotekarek polskich urzędów w Londynie, którzy w miarę skromnych funduszy, jakie im się przysyła, zbierają książki dla bibliotek w kraju. Dla wyniszczonych, ograbionych, unieruchomionych dzisiaj, a jutro tak bardzo potrzebnych bibliotek — witamin kultury.

Rząd angielski versus bezrobocie

Oświadczenie rządu brytyjskiego w sprawie pełnego zatrudnienia („The White Paper on Employment Policy”), ogłoszone w bieżącym tygodniu, choć samo przez się jest bardzo ważne i doniosłe, ma jeszcze szersze znaczenie, gdy się je zestawia z szeregiem innych wewnętrzno-politycznych posunięć. W stosunkowo krótkich odstępach czasu rząd angielski zajął stanowisko w sprawie reformy szkolnictwa, w sprawie służby zdrowia, w sprawie bezrobocia i zasadniczo uznał konieczność daleko idących zmian w istniejących ubezpieczeniach społecznych (choć rząd nie akceptował planu Beveridge'a, jednak przyrzekł przedłożyć Izbie Gmin swój własny plan reformy).

Te reformy, których implikacja jest wyraźnie lewicowa, zostały przyjęte tylko a contre coeur przez torysów. Jednak nawet konserwatyści musieli poczynić ustępstwa na rzecz tego ruchu na lewo, który się w Anglii tak wyraźnie zarysowuje. Oświadczenia rządowe szły tylko powoli i opieszale za głosem opinii publicznej. Niemniej szły! I jakkolwiek będzie ich los, choć praktyczne ich wykonanie może być jeszcze długo sabotowane przez prywatne zainteresowanych, to jednak są one niewątpliwie kamieniem węgielnym nowego ustroju, do którego Anglia nieuchronnie zdąży. W tym sensie to nagromadzenie reform i ich przyjęcie przez rząd koalicyjny jest bardzo znamienne i bardzo ciekawe.

Sam fakt, że rząd, w którym pierwsze skrzypce grają konserwatyści pod wodzą Churchilla, oświadczył się za planową polityką w sprawie bezrobocia, jest rewelacją. Dotychczas bowiem tylko socjalizm widział możliwość radykalnej zmiany tego stanu rzeczy, w którym nawroty kryzysów gospodarczych wywoływały wzrastającą falę nędzy i bezrobocia (Nawet zlikwidowanie bezrobocia w Niemczech przed obecną wojną nie byłoby do pomyślenia bez olbrzymiego natężenia zbrojeń i przygotowań wojennych).

Wydany obecnie „White Paper” szkicuje po raz pierwszy zrozumiął plan likwidacji bezrobocia w czasach pokoju, w ustroju kapitalistycznym i w sposób demokratyczny, t. j. bez przymusu i pod ostrzałem nieskrępowanej krytyki opinii publicznej. Nie tutaj miejsce na obszerny streszczenie i omówienie tego planu. Wystarczy wspomnieć, że dzieli się on na dwa okresy. Pierwszy — bezpośrednio po wojnie, kiedy trzeba będzie utrzymać wszystkie ograniczenia i regulacje wojenne, aby zapobiec inflacji i nadmiernemu rozrostowi niektórych przemysłów, jak np. budownictwa, przemysłu meblarskiego i t. p., które po zaspokojeniu nadzwyczajnych potrzeb byłyby tylko zarzewiem bezrobocia; drugi okres, — późniejszy, w którym zapobiegać się będzie bezrobociu innymi, nieprzymusowymi środkami, jak umowy międzynarodowe, specjalna, bardziej elastyczna polityka podatkowa, celowe rozmieszczenie przemysłu, roboty publiczne i t. p.

Trudno przewidzieć, czy plan ten da zamierzony wynik. Jak każdy plan, musi on przejść próbę doświadczenia. Jak mawiał mój znajomy profesor fizyki, Francuz: „Une théorie est vrai aussi longtemps qu'elle est féconde”. Jeśli więc jest to prawdą w fizyce, jest najściślej w naukach ścisłych, to jest także prawdą w ekonomii, która nie umiała dotąd uwolnić się z objęć nie bardzo precyzyjnej dyalektyki.

H. S. Dominik

PRZEGŁĄD POLITYCZNY

Na kilka dni przed rozpoczęciem inwazji przez Sprzymierzonych na wybrzeżu normandzkim ogłoszono, iż pierwsze formacje bombowców amerykańskich wyładowały na przygotowanych dla nich bazach na terytorium rosyjskim. Gen. Eisenhower w proklamacji, jaką ogłosił w dzień inwazji, oświadczył, iż data jej została ustalona w Teheranie. W niecałe trzy tygodnie po rozpoczęciu działań na froncie francuskim Rosjanie wszczęli zakrojoną na dużą skalę ofensywę na białoruskim odcinku swego frontu. Ofensywę tę wyprzedzili na niecałe dwa tygodnie rosyjskie działania ofensywne przeciwko Finlandii. Tak się zaś jakoś złożyło, że te działania zbiegły się w czasie z wręczeniem paszportu posłowi fińskiemu w Waszyngtonie, p. Prokope, któremu oświadczone, że jest w Stanach Zjednoczonych „persona non grata”.

Wszystkie te fakty jeśli je zebrać razem, są szczególnie wymowne. Świadczą one bowiem, iż porozumienie, osiągnięte w Teheranie, było dużo ścisłejsze, niż się tego można było spodziewać, i że machina wojenna trzech mocarstw, sprzymierzonych przeciwko Niemcom, działa w tej chwili wyjątkowo sprawnie i bez zgrzytów. Mało kto pół roku temu spodziewał się, że działania wojenne przeciwko Niemcom będą na tak szerokiej skali szarmonizowane.

Nie można dostatecznie mocno podkreślić znaczenia uzgodnienia działań wojennych państw anglosaskich z ZSRR dla dalszego rozwoju sytuacji wojennej. Hitler zapewniał Niemców, że nie powtórzy błędów cesarza Wilhelma i że nie da się wmanewrować w taką sytuację, w której Niemcy musiałby walczyć na dwa fronty. I rzeczywiście Niemcy nie walczą dzisiaj na dwóch frontach. Walczą na trzech. Goering zapewniał Niemców, że ani jedna bomba nie spadnie na terytorium niemieckie. Z chwilą stworzenia lotniczych baz amerykańskich na terytorium rosyjskim nie ma takiego miejsca na terytorium niemieckim i okupowanym przez Niemców, któreby nie było w zasięgu bombowców Sprzymierzonych.

Taka ścisła współpraca wojenna jest najpewniejszą gwarancją szybkiego zwycięstwa aliantów nad Niemcami. Ale właśnie na jej tle i właśnie w perspektywie tego zwycięstwa tym groźniej i tym niebezpieczniej wygląda to, co można by nazwać politycznym nieprzygotowaniem aliantów do sfrukturyzowania zwycięstwa. Do politycznego zorganizowania świata po wojnie.

„Moim zdaniem, wojna w miarę jak postępuje, stała się coraz mniej ideologiczną” — powiedział premier Churchill w swej ostatniej mowie w Izbie Gmin z 24 maja. Trudno mu nie przyznać racji. Weźmy np. sprawę francuską. Gen. de Gaulle cieszy się poparciem całej Francji podziemnej. To daje mu ten autorytet i siłę, które sprawiły, że w dotychczasowych rozgrywkach odnosił jedno zwycięstwo po drugim. Jeśli przyczyna nieuznania ma być istnienie w Vichy rządu Pétaina, z którym Amerykanie do niedawna utrzymywali jeszcze stosunki dyplomatyczne, to w takim razie dlaczego za głowę państwa czechosłowackiego uznano prez. Benesza, skoro w Pradze funkcjonuje nadal rząd Hachy, z którym i Wielka Brytania i Stany Zjednoczone też przecież kiedyś utrzymywały stosunki. Może zapowiadana wizyta gen. de Gaulle'a w Waszyngtonie przyniesie definitywne uproszczenie polityki mocarstw anglosaskich wobec francuskiego Komitetu, którego pierwszą zapowiedzią zdaje się być nominacja gen. Koeniga.

A teraz sprawa polska. W związku z konfliktem polsko-sowieckim premier Mikołajczyk odbył podróż do Waszyngtonu. Przyjęciem, jakie mu tam zgotowano, Amerykanie bardzo wyraźnie zadeklarowali, iż uważają Rząd Polski za jedynego reprezentanta polskich interesów i polskiej racji stanu. Konflikty polsko-sowieckie wizyta ta jednak nie ruszyła z martwego punktu. Premier Mikołajczyk z godną uznania szczerością powiedział to na londyńskiej konferencji prasowej. Stanowisko amerykańskie można by w tej chwili pokrótce zresumować tak: mamy dla was dużo sympatii, ale postulatów waszych u Rosjan przebiegać nie będziemy. Niektóre gazety amerykańskie mówiły nawet zupełnie wyraźnie: idźcie rokować z Rosjanami w cztery oczy. Z bardzo miarodajnych i godnych ust w Waszyngtonie usłyszeliśmy kiedyś, że jesteśmy natchnieniem świata. Dziś usiłuje się nas przekonać, że powinniśmy być natchnieniem grzecznych.

Ani sprawa polska, ani sprawa francuska to nie są sprawy o znaczeniu tylko lokalnym: idzie tu nie tylko o to, jakie będzie stanowisko polityczne Francji i wzdłuż jakiego południka przejdzie granica polsko-sowiecka.

O co bowiem idzie? Wojna wybuchła w Europie dlatego, że jedno z państw europejskich postanowiło, depcząc wolę istnienia innych, mniejszych państw, stworzyć z nich obszar swojego Lebensraumu. Państwa te zdecydowały się na wojnę, która — „rozsądnie” rzecz biorąc — była nonsensem, bo wobec przewagi przeciwnika była z góry skazana na niepowodzenie, która jednak uzasadnienie swoje miała w tym, że była podjęta w obronie obrażonego poczucia moralnego, w głębokim przekonaniu broniienia słusznej sprawy. Decyzja wojny z Niemcami była dla Polski „nierozsądna”, bo wojna ta musiała być dla Polski przegrana, nawet gdybyśmy byli do niej dobrze przygotowani. Decyzja wojny z Niemcami była dla Jugosławii szaleństwem, tak jak pójście na wojnę z Niemcami było dla Grecji decyzją samobójczą. A jednak wszystkie te państwa na wojnę tę poszły. Zdecydowały się na nią w głęboko odczutym poczuciu walki o sprawę słuszną, o swoje prawo istnienia. Te siły moralne, które narodziły się do wojny takiej pchnęły i które potem stanowiły motor podziemnej akcji oporu, to była wiara w słusność zasad, które sformułowanie swoje znalazły w Kartach Atlantyckiej, przede wszystkim zasad równości narodów wobec prawa i swobodnego stanowienia o swoim losie. „Rozsądnie” przecież było znaleźć sobie jakiegoś Hachę i starać się spokojnie z okupantem ułożyć, nawet jeśli się uważało, że w ostatecznym obrachunku Sprzymierzonych niepodległość wywalczą.

Świat można zorganizować albo na gruncie poszanowania pewnych zasad i norm prawnych, obowiązujących w społeczności narodów, albo też na gruncie swobodnej gry sił

i wszystkiego co za tym idzie, t. zn. sfer wpływów, koncertu mocarstw i t. d.

Sceptyk czy cynik w tym miejscu gotów zażywać, czy można zorganizować świat na gruncie poszanowania pewnych ogólnie obowiązujących w świecie zasad prawnych? Czy to możliwe? Przecież takie urządzenie świata byłoby zupełnym novum. Nie jest znane w historii.

Odpowiedzieć mu na to można, że przede wszystkim pewnym novum jest i choroba, którą mamy leczyć. Świat przed wiekiem XX nie znał wojen uniwersalnych. Wojny te to novum, będące dowodem coraz silniejszej politycznej i gospodarczej współzależności poszczególnych państw świata.

Zastanówmy się zresztą na chwilę nad konsekwencjami drugiej alternatywy: świata, zorganizowanego na zasadzie brutalnej (czy jeśli kto woli: swobodnej) gry sił. Siła polityczna państwa jest zawsze funkcją jego siły gospodarczej. Ta siła gospodarcza jednak dziś, w epoce piatiletkich, planów czteroletnich, industrializacji — to wielkości bardzo szybko podlegające zmianom. Dużo szybciej niż dawniej. A to przesądza sprawę stałości takiego układu politycznego. Bardzo łatwo możemy sobie wyobrazić, że za kilka lat potencjały gospodarcze poszczególnych państw będą bardzo różne od tych, jakie były w momencie zawierania pokoju. I co potem? Państwa, których potencjał gospodarczy w ciągu tych kilka lat silnie wzrośnie, będą chciały wywalczyć sobie odpowiednią pozycję polityczną. Ale naiwnością przecież byłoby przypuszczać, by państwa, których rozwój gospodarczy doznał z tych czy innych powodów zahamowania, były „rozsądne” i dobrowolnie ustępowały z tych pozycji politycznych, jakie im traktat pokojowy zagwarantuje. Tak więc zorganizowanie powojennego świata na zasadzie gry sił i koncertu mocarstw, to nie tylko perspektywa nowej wojny. To perspektywa nowej bliskiej wojny.

Inne wydarzenia przysilają nam ofensywę we Włoszech, tym niemniej ofensywa ta robi doskonale postępy i stwarza dobre możliwości przerzucenia działań wojennych na Balkany. Inwazja we Francji ma już za sobą najcięższą i najryzykowniejszą fazę. W miarę wyzwalań kontynentu europejskiego przyjdą też do głosu oswobodzane spod okupacji niemieckiej narody tego kontynentu. Narody te w różnych konkretnych sprawach mogą się bardzo rozmaicie ustosunkować do tego czy innego z wielkich mocarstw, ale ich postawa wobec koncepcji sfer wpływów na pewno nie będzie entuzjastyczna.

Na tych elementach sytuacji opierają się też te koła, które w obu mocarstwach anglosaskich atakują politykę zagraniczną swych rządów. W Ameryce, jak się dowiadujemy z ostatnich depesz, republikanie ostro atakują prez. Roosevelta za zbyt dużą ustępliwość także i w sprawach polskich. W Wielkiej Brytanii koncepcja sfer wpływów natrafia na ostre opory na lewicy. Jeden z takich głosów, bardzo charakterystyczny, przytaczamy na innym miejscu. Głosy te są tym wymowniejsze, że wpływ lewicy w Anglii rośnie.

Ktoby chciał na podstawie wyżej przytoczonych danych dać się powodować optymizmowi, postąpiłby raczej lekkomyślnie. Są to jednak wszystkie oznaki, wskazujące na to, iż istniejące możliwości modyfikacji w przyszłości oficjalnej polityki państw anglosaskich.

Sprawa polska to „test case”. Byliśmy ponoc natchnieniem świata w tej wojnie. Być może, iż klęska nasza będzie dowodem, że świat stracił

natchnienie. W świecie takim będzie ciężko odychać. Nie tylko nam.

Zastanówmy się teraz nad sytuacją na frontach. Zaczniemy od frontu rosyjskiego. Główna siła uderzenia nowej ofensywy rosyjskiej skierowana została na Witebsk. Witebsk to jeden z zawiastów całego frontu. Zdobyte Witebsk i szybkie postępy w kierunku Połocka są już dużym sukcesem strategicznym. Rzut oka na mapę dowodzi, że jeśli Rosjanom uda się iść na tym odcinku nadal naprzód w tym samym tempie, to państwa bałtyckie spadną im same jak dojrzale owoce. Co więcej, postępy rosyjskie w tym kierunku, to zagrożenie Prus Wschodnich, a więc już terytoriów niemieckich.

Równocześnie jesteśmy świadkami wielkich sukcesów ofensywy rosyjskiej na froncie fińskim. W ofensywie na Wyborg Rosjanie w ciągu dziesięciu dni sforsowali trzy fińskie linie obronne, w tym linię Mannerheima. Linie te stanowiły jedne z najmocniejszych znanych umocnień. Pamiętamy, jak ciężko i z jakimi oporami szło Rosjanom zdobywanie linii Mannerheima w wojnie roku 1939-1940. Ile czasu to zajęło i ile ofiar pochłonęło. Porównanie tempa i rezultatów postępów natarć sowieckich w obu kampaniach to egzamin postępów sprawności wojennej armii sowieckiej, jakie nabyła ona w ciągu trzech lat krwawych doświadczeń wojennych. Nauka była kosztowna — Rosjanie sami przyznają się do olbrzymiej liczby zgórą pięciu milionów ludzi strat (Niemcy mówią o bez mała 17 milionach, ale ta cyfra wygląda już zgola fantastycznie) — ale też i trzeba przyznać obiektywnie, że zdali egzamin ten na celująco.

Prasa szwedzka ogłosiła nowe warunki pokoju, jakie Rosjanie mieli zaproponować Finlandom. Wyglądają one na pozór niewinne, ale jest wśród nich jedna klauzula, która oddaje Finlandię niemal że zupełnie we władzę Rosjan. Oto aby umożliwić Niemcom zaopatrywanie armii Dietla w północnej Finlandii, Rosjanie mieliby zająć wyspy Alandzkie. Pozycja strategiczna, jaką wyspy te zajmują na Bałtyku, jest zupełnie wyjątkowa. Kto panuje na tych wyspach, ten ma w swym ręku kontrolę nad wszystkimi komunikacjami morskimi Finlandii, zarówno z Zatoki Botnickiej, jak i z Zatoki Fińskiej. Ponieważ zaś równocześnie, zabierając Pełsamo, Rosjanie zamykają Finlandom drogę na morza północne, a praktycznie wszystkie fińskie komunikacje lądowe prowadzą przez Rosję, w myśl więc tych warunków pokoju, Finlandia znalazłaby się — praktycznie rzecz biorąc — pośrodku posiadłości rosyjskich. W poprzedniej wojnie Rosjanie zapewnili sobie panowanie na półwyspie Hango, który pilnuje wejścia do Zatoki Fińskiej. Mając w ręku wyspy Alandzkie, będą mieli kontrolę nad obu zatokami.

Co więcej, wyspy Alandzkie leżą bardzo blisko Stockholmu. Położone są one o niecałe 200 km od Stockholmu i niewiele więcej ponad 50 km od wybrzeża szwedzkiego. Kto więc ma je w ręku, ten może być pewien politycznej lojalności Szwecji. Opanowanie więc wysp Alandzkich zmieniliby zupełnie proporcje sił na Bałtyku. Poprzednia wojna światowa Rosję niemal że zupełnie z Bałtyku usunęła, obecnie pretenduje ona tu do roli dominującej. To też Stockholm donosi, że Niemcy czynią przygotowania, do zajęcia wysp Alandzkich na wypadek załamania się Finlandii.

Walki w Normandii noszą ten charakter, który znamy z ofensyw Sprzymierzonych w Afryce

Północnej i we Włoszech. Charakter solidnej roboty. Były to ofensywy nie obfitujące w gwałtowne i efektowne uderzenia, ale takie, w których Sprzymierzeni raczej powoli ale stale cele swe ostatecznie osiągnęli. Zajęcie Cherbourga zamknęło pierwszą fazę inwazji. Mając teraz w ręku wielki port, Sprzymierzeni po doprowadzeniu go do takiego stanu, iż będzie można z niego korzystać, będą mogli wyładowywać w wielkich ilościach ciężki sprzęt, t. zn. będą mogli przystąpić do ofensywy w wielkim stylu.

Sytuacja Niemców w Normandii nie rysuje się jasno. Z jednej strony okazali się oni — raz jeszcze — niezdolni do większych działań ofensywnych. Nie udało im się zepchnąć armii desantowych do morza, mimo że armie te usadowiły się płytko na wybrzeżu normandzkim, z drugiej jednak strony, jak pokazała obrona Cherbourg, potrafią się bronić zaciekle i w wysokim stopniu skutecznie. Propaganda niemiecka może być dumna z tego, iż w tak rozpaczalnej sytuacji politycznej i militarnej udaje jej się utrzymać jeszcze w Niemczech tak wielką wolę walki. Tym wyraźniej zaznacza się na jej tle ogromna przewaga wojenna Sprzymierzonych: bo i we Włoszech Niemcy nie mogą się podnieść z klęski i ciągle niezdolni są do ustabilizowania linii frontu. Niemcy są bici na wszystkich frontach.

Na użytek wewnętrzny propaganda ta wyzyskuje do ostateczności nową broń niemiecką, latające bomby. Jeśli wierzyć komunikatom niemieckim, południowa Anglia to dziś jedno wielkie rumowisko i kraj, ogarnięty paniką. Kiedy się słucha tych komunikatów, staje się rzecz jasną, iż trzeba przyjąć jedną z dwóch alternatyw: albo latające bomby zrewolucjonizowały działania wojenne i zupełnie dezorganizowały życie w południowej Anglii, albo też sytuacja Niemiec jest tak zła, że trzeba Niemcom zastrzykiwać końskie dawki narkotyku propagandy wojennej. Otóż jest rzeczą oczywistą, że latające bomby, mimo że skuteczne i że w pierwszym momencie żywo podziałały na wyobraźnię ludzką, nie zaważyły poważnie ani na angielskim wysiłku wojennym, ani na morale ludności. A zatem...

ww.

Z PRASY OBCEJ

Krytyka polityki Churchilla

„The Nation” z dn. 3 czerwca przynosi następującą krytykę prem. Churchilla, w związku z jego ostatnią mową, przedrukowaną następnie przez jerozolimski tygodnik „Forum” z 23 czerwca:

„W najpiękniejszej godzinie Churchilla, kiedy Wielka Brytania była przyciśnięta do muru i toczyła walkę o samo prawo do życia, można było — być może — znaleźć jakieś wytłumaczenie dla zaniechania ideologii. Ale teraz, kiedy planujemy przyszły kształt pokoju, jest rzeczą istotną, abyśmy wiedzieli, gdzie tkwią korzenie faszyzmu. Albowiem jeśli nie wypełnimy tego zleciska zewsząd, jeśli nie zabezpieczymy przed nim politycznego gruntu, dowiemy się któregoś dnia, że znowu wyrosło i przysięgło kwiat pokoju.

Zieliska, na nieszczęście, zdają się być czymś niegodnym uwagi p. Churchilla. W swoim politycznym ogrodnictwie tkwi on w sztucznych krajobrazach z w. XVIII, a do jego projektów pokoju sam Metternich mógłby się przyznać. Przeglądając on światową organizację, kontrolowaną przez trzy czy cztery wielkie mocarstwa, na które spadłoby zadanie utrzymywania stałego pokoju. Dwukrotnie w swojej mowie powołał się on na traktat anglo-sowiecki jako na kamień węgielny polityki brytyjskiej, ale zdaje się pojmować go przede wszystkim jako wzajemne zobowiązanie nie nadeptywania sobie na pięty. Gotów jest przyznać Stalinowi decydujący głos w Europie Wschodniej, ale zdaje się uważać Europę Zachodnią i basen morza Śródziemnego za brytyjską sferę wpływów.

Jego plany co do tej strefy, tak jak zostały naszkicowane, mało liczą się z ruchami ludowymi, tak wyraźnymi w okupowanej przez hitlerowców Europie...

Mowy p. Churchilla były szczególnie potężną bronią w tej wojnie. Ale ostatnia była rursznica, która wystrzeliła we własne szeregi: która wstrząsnęła demokratyczną moralnością... Widok jednego z głównych architektów zwycięstwa, który podminowuje fundamenty pokoju, jest, naprawdę, bardzo smutny. Ale ciągle jeszcze wierzymy, że siły i idee, na które jest ślepy i głuchy, okażą się w końcu zbyt silne na to, aby się im mógł opierać”.

NOWOŚĆ!

Nakładem Wydawnictwa „W DRODZE”
ukazał się tom pierwszy

POWIEŚCI HISTORYCZNEJ

TEODORA PARNICKIEGO
SREBRNE ORŁY

Stron 356

Cena 300 milsów

TOM DRUGI W DRUKU

Wydawca: Ignacy Pokrywa
Redaktor: St. A. Balicki
Adres Redakcji: Polish Information Centre
Jerusalem, Bezalel Street, House Valero

Drukarnia: The Jerusalem Press Ltd.

Z TEK I ZYGMUNTA KOWALEWSKIEGO



STARE MIASTO W JEROZOLIMIE